Nr. 51 20 GRUDNIA 1936 R. CENA 40 GROSZY // ZA GŁOSEM WSPOMNIEŃ... // Ann Sothern, artystka wytwórni „R.K.O."





CO KUPIĆ NA GWIAZDKĘ?





Młodej panience — młodzi znajomi, bywający w domu rodziców: cukierki czekoladki, owoce kandyzowane, z których piękne pudełeczka i szkatułki czy skrzyneczki są potem mile przechowywane z drobiazgami codziennego użytku. Modny papier listowy. Nowości nutowe z repertuaru fortepianowego lub pieśniowego. Powieść, która w danej chwili obudziła powszechne zainteresowanie.

Młodej pani domu — młodzi znajomi: kwiaty, subtelnie dobrane; wytworne cukry: bibelociki do jej buduaru, stosowne do jej upodobań artystycznych, sportowych czy czysto kobiecych; ozdobne wydawnictwa z dziedziny sztuki, która ją najbardziej interesuje. Mogą to być monografje polskie i zagraniczne z zakresu znawstwa obrazów, dywanów, mebli, zegarów, porcelany, koronek itp.

Pani domu — starsi panowie z koła bliższych znajomych: perfumy dobrane z podobnych, jakie używa, lub tych, które kiedyś pochwaliła w towarzystwie. Kosz z owocami, bakaljami i winem. Tort z uznawanej przez nią cukierni. Trwały kwiat doniczkowy, jaki szczególnie lubi, czyto araukarja, czy dracena, palma, fikus, rododendron, aspidistra, sansewiera itp. Tu poradzić się ogrodnika o odpowiedni wybór do wystawy słonecznej pomieszkania.

Młodemu znajomemu, z którym jest na poufalszej stopie młoda osoba: coś z repertuaru brydżowego, jeżeli gra; bibelocik sportowy, jeżeli ma takie zamiłowania; płyty gramofonowe z najnowszemi przebojami; portmonetka lub portfel czy notes o nowym zupełnie fasonie.

Poważnemu znajomemu — pani domu z mężem: wyszukane cygara lub papierosy; parę flaszek szlachetnych napoi; wytworna kaseta na papierosy; skórzana teczka na biurko; cenny przycisk itp.

Znajome — pomiędzy sobą: nowości konfekcyjne zależnie od sezonu. Szal, kołnierzyk, żabocik, rękawiczki, pasek, brożka, czy klips, woda tualetowa, mydełka do ulubionej perfumy, koronkowe chusteczki, komplet minjaturowych serwetek własnej roboty, poduszka, dostosowana do mebli, kolorowa serwetka na stoliczek, flakon z paroma gałązkami tak pięknych dziś sztucznych kwiatów.

Znajomi — pomiędzy sobą: papierosy, cygara, bronzowe statuetki, spinki, krawaty, szale, przybory do palenia, karty do gry, napoje, lampy na biurko, puzderka na drobiazgi tualetowe, które zawsze lubią się gubić.

Oto pomysły na prezenty. Można je snuć dalej i niewątpliwie dadzą one naszym Czytelnikom i Czytelniczkom podnietę do obmyślania jeszcze innych i jeszcze bardziej dla danych osób przystosowanych podarunków.

Mewa.



Patrycja Ellis z wytwórni „Warner Br." przygotowuje podarunki świąteczne dla przyjaciół...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWA... NA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wys... 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dziel... ość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony ... Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkow... ...sadniczego. Żadnych zastrzeżeń co ... nie przyjmujemy

Już w następnym numerze „GWIAZDKA" CZYTELNIKÓW ASA! 40 stron druku za 40 gr.!

Numer 51 **Niedziela 20 grudnia 1936** **II**

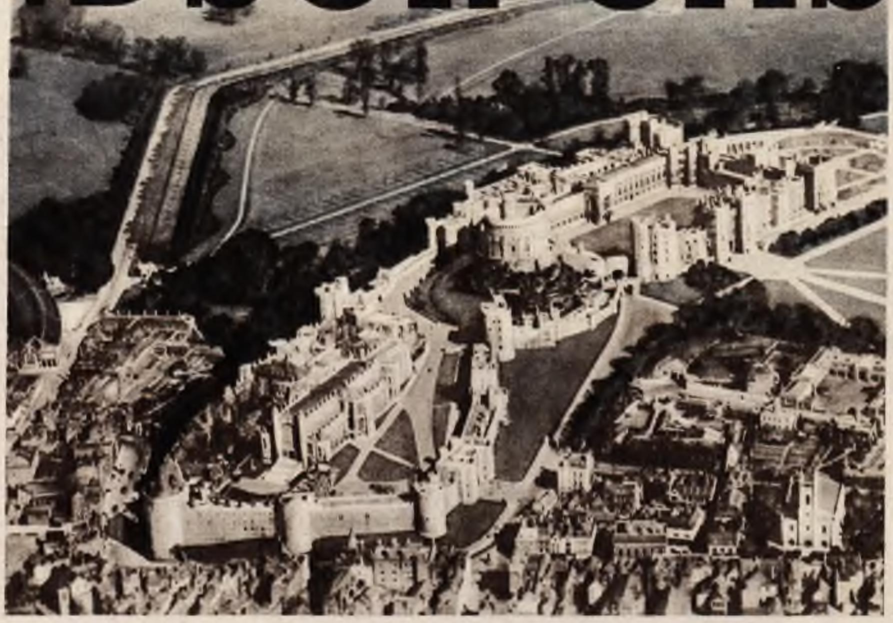
ASY NUMERU 51-GO:



Fot. Agfa.

W okresie świąt Bożego Narodzenia ruch na kolejach wzmaga się niepomiernie... Setki pociągów, wypełnionych po brzegi pasażerami, zawiozą ich nieraz z odległych zakątków Rzeczypospolitej do miejsc rodzinnych, gdzie przy stole wigilijnym spędzą oni podniosłe chwile...

WINDSOR CASTLE


Zamek królewski Windsor z lotu ptaka.

Wśród wspaniałych budowli historycznych tego kraju, Windsor Castle posiada bezwątpienia najbardziej symboliczne znaczenie dla narodu angielskiego — będąc rezydencją króli.

Potężne zamczysko, malowniczo rozrzucone na 13 akrach prawego brzegu Tamizy (w 22 mil odległości od Londynu) jest niezatartym obrazem rycerstwa ubiegłych wieków, jak również żywej współczesności. Żyje i oddycha, zdawałoby się, tem samem powietrzem jak przed 900 laty, odgrywając nadał ważną rolę w historji narodu.

Swemi murami daje nietylko pojęcie charakteru „czysto angielskiego" t. zw. „stylu narodowego", lecz również odzwierciedla wielki wpływ obcych dynastyj panujących na tronie angielskim. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że w ciągu historji Anglji tylko trzech króli nie pragnęło rezydencji Windsorskiej: Wilhelm III. Oranski oraz 2-ch Jerzych — lecz ich polityka „nie angielska" jest dobrze znana.

Ta właśnie tradycja rezydencji królów jest bardzo charakterystyczną cechą narodu angielskiego, dla którego „home" jest jego twierdzą i świątynią. Dlatego właśnie rzeczą odpowiadającą duchowi Anglika wszystkich nieomal wieków i warstw społecznych i rzeczą dla niego zupełnie jasną jest to, że nic innego, tylko właśnie zamek-twierdza jest właściwą siedzibą króli. Twierdza potężna, doświadczona w bitwach, lecz zarazem.. nie nosząca piętna agresywności militarnej.

Właśnie te dwie zasadnicze cechy Windsor reprezentuje w całej rozciągłości. Był świadkiem potężnych wzmagań rycerstwa, przetrwał liczne oblężenia (jego potęga została złamana tylko raz, za czasów Johna. Poddał się po 2-miesięcznej uciążliwej obronie) i ostatecznie wstąpił w okres pokoju, który zbiega się z pokojem wewnętrznym, jaki Magna Charta przyniosła narodowi. Od tego już czasu Windsor rozpoczyna odgrywać właściwą rolę.

Ze względów wyżej wspomnianych przewyższa może arcydzieła historyczne, jak Wersal — reprezentujący jedną epokę historji, pałac Dożów — historję potężnej niegdyś, lecz umarłej Rzeczypospolitej, lub Schönbrunn i Poczdam — mówiące nam tylko o jednej epoce.


Ogólny widok kaplicy św. Jerzego spod arkad klasztoru.

Ziemia, na której obecnie się wznosi zamek, niegdyś była prywatną własnością Harolda (druga połowa XI w.). Jego zwycięzca Wilhelm, obrał to miejsce dla wzniesienia fortu. Henryk III (1216) stwarza z niego najpotężniejszą twierdzę w Europie. Wzmacnia mury, buduje baszty, z których największa pozostała do dnia dzisiejszego, stawia kaplicę oraz klasztor. W sto lat później, Edward III przebudowuje go i wzmacnia, wznosząc potężną basztę „Round Tower", basztę Edwarda III., basztę Johna i Bramę Normandzką, a przez wewnętrzne ulepszenia nadaje mu charakter pałacu.

W tym stanie Zamek przetrwał kilka wieków. Drobne zmiany zostały poczynione za czasów Henryka VIII. Najważniejszem jest wzniesienie Wielkiej Bramy (Great Gateway), umożliwiając w ten sposób dostęp do Zamku od strony miasta.

Większe natomiast zmiany zostały poczynione za Karola II. (1660—1685). Był on pierwszy, który uznał Windsor za „miejsce melancholji i przekwitłej wspaniałości". Rozpoczyna więc bezlitosną modernizację. Wieże obronne, strzelnice, czworokąty zrujnowano. Najwspanialsze okazy — „przekwitłej wspaniałości" — architektury średniowiecznej zniszczono. Melancholja została wypędzona...

Rezultat jego „odnowienia" wywołał wielką reakcję ówczesnego społeczeństwa. Jego następcy postanowili przebudować go w stylu gotyckim, lecz niefortunni architekci Wyatt i Wyatville, którzy restaurowali Zamek z ramienia Jerzego III. i IV. (1760—1830) posiadali więcej zapału gotyckiego, aniżeli znajomości stylu. W rezultacie Zamek został przeładowany dekoracją, a ogromne sumy pieniężne, w jakie ich hojnie zaopatrywano, zostały zużyte na zniszczenie pracy średnich wieków.

Rozmaite były sposoby finansowania. Jeden z nich jest bardzo ciekawy. W r. 1823, Austrja — wbrew oczekiwaniu i zapewnieniu — wyrównała dług wojenny — płacąc za funt 2½ shilinga. Rząd, by ugłaskać wzburzoną opinję publiczną z powodu tego niepowodzenia, wyasygnował ½ miljona funtów na budowę nowych kościołów, oraz 300 tysięcy na upiększenie Zamku. Dla znawców „metod" finansowych Georgea IV. nie będzie żadną niespodzianką, że 7 lat później, w wykazie przedłożonym parlamentowi figurowała kwota... 900 tysięcy funtów!

Bez względu jednak na to, jakie były metody finansowe, Jerzy IV. jest uważany za twórcę obecnej, zmodernizowanej królew-

Klasztor w pobliżu zamku windsorskiego zbudowany w formie podkowy.



Zachodnia strona Windsoru z tarasem.



skiej rezydencji, chociaż historja określa go: „zły jako dziecko, zły jako mąż, zły obywatel, zły monarcha, i zły jako przyjaciel. Hazardowy gracz i pijak". Najważniejszą jednak przyczyną jego niepopularności był fakt, że nieraz przychodziło państwu pokrywać jego długi, co jednak nie przeszkadzało uważać go za „Pierwszego gentlemana Europy".

Najważniejszem ulepszeniem było połączenie dwóch skrzydeł. Do niego, pomiędzy pokojami królewskiemi a pokojami zajmowanemi przez rodzinę królewską, dostojnych gości oraz dwór nie istniało bezpośrednie połączenie. W razie audjencji, ci ostatni musieli przekroczyć, stosunkowo duży, kwadratowy dziedziniec.

Ta niedogodność nie sprawiała żadnej przykrości jego królewskiemu rodzicowi, który w r. 1820 zakończył swój żywot po 9 latach obłąkania w nędznym gmachu, miejscu dzisiejszych stajni królewskich.

Lecz Jerzy IV. zapragnął wspaniałości, wobec czego architekci spotkali się z koniecznością wzniesienia bardzo długiego, piętrowego korytarza.

* * *

Zamek Windsorski prócz tego, że jest rezydencją króli, jest również siedzibą najbardziej dystyngowanego w świecie zakonu rycerskiego Orderu Podwiązki (The Order of the Garter), a jego chlubą, a zarazem perłą Zamku jest Kaplica św. Jerzego (St. George's Chapel). W stylu, charakterystycznym gotykowi angielskiemu, określanym przeważnie stylem „narodowym", daje obraz rozwoju sztuki i historji, jak żaden kościół w Anglji, z wyjątkiem może Wesminsteru.

Przy wejściu do kaplicy oczy widza przykuwa wspaniały kamienny sufit — wytworne linje gotyckiego sklepienia — różnorodność i bogactwo malowanych w złocie herbów licznych króli i najświetniejszych kawalerów Orderu, a ponad wszystko, zadziwiające piękno i wytworność wspierających filarów.

Następnie, wzrok przenosi się na potężny witraż „West Window", reprezentujący szereg królów oraz insignja orderu. W dolnej części witrażu jest uwidoczniona modlitwa, odmawiana podczas codziennego nabożeństwa: „God save our gracious Sovereign and all the Companions of the most honourable and noble Order of the Garter". I wreszcie stalle dla kawalerów Orderu, bogato rzeźbione w dębie, nad któremi powiewają ich chorągwie, po bokach zaś są umieszczone ich szpady, hełmy, herby i tablica nosząca imiona oraz tytuły. Bezpośrednio pod galerją dla chóru są krzesła książąt domu panującego oraz krzesło tronowe króla.

Kaplica św. Jerzego jest w swoim rodzaju unikatem, gdyż jest właściwie jedyną na świecie kaplicą do dnia dzisiejszego przynależną do zakonu, reprezentującego światłe poglądy rycerstwa wieków średnich, ten rycerski ideał gentlemeństwa, dla którego najwyższym obowiązkiem mężczyzny jest, oparta na modlitwie, walka w obronie Ojczyzny, Praw i Honoru.

Ten słynny w świecie zakon rycerski został założony przez Edwarda III. w r. 1348.

Pierwszy statut ilość członków ograniczał do króla, księcia Walji, oraz 24 kawalerów, najwyższych przedstawicieli parów. Za czasów Jerzego III i Wilhelma IV. został rozszerzony na potomków Jerzego I i książąt obcych.



Na prawo: Oto ciekawy obrazek londyński: Czarny kot uważany w Anglji za symbol szczęścia, przechodzi przez ulicę, w czem pomaga mu policjant wstrzymując ruch.

Poniżej: Wnętrze kaplicy św. Jerzego w zamku windsorskim.



Pasowanie na rycerza odbywa się w kaplicy św. Jerzego podczas uroczystego nabożeństwa i po wręczeniu insygnij (gwiazdy, podwiązki i złotego kołnierza z 26 różami Tudorów) jest eskortowany do stałego krzesła w stallach.

W praktyce tej uroczystości jednak zaniechano. Ostatnim rycerzem, pasowanym uroczyście w r. 1911 był książę Walji, b. król Edward VIII.

Dziś pasowania dokonuje Władca (Sovereign) Orderu, t. zn. król, niekoniecznie w kaplicy St. Jerzego. Jedyną lady Orderu jest obecna królowa Mary.

W kaplicy Św. Jerzego znajdują się szczątki: Henryka VIII. oraz jednej z jego licznych żon, Karola I., Jerzego III. i IV., Wilhelma IV. oraz Edwarda VII.

W ciągu ostatnich 200 lat kaplica znajdowała się w stanie wielkiego zniszczenia. Gruntowne odnowienie, rozpoczęte w roku 1921 zostało ukończone w 1930 r. Czwartego listopada tegoż roku, w obecności króla i królowej, rodziny królewskiej oraz kawalerów orderu odbyło się uroczyste nabożeństwo dziękczynne z okazji ukończenia restauracji, odprawione przez biskupa Winchesteru — prałata Orderu Podwiązki i biskupa Oxfordskiego — kanclerza Orderu. Podczas nabożeństwo nad głowami obecnych powiewały sztandary Włoch, Hiszpanji, Szwecji, Norwegji, Danji, Belgji oraz Japonji — sztandary kawalerów Orderu Podwiązki — człon-

Dokończenie na str. 7-ej.

Na prawo: „Sala bitwy pod Waterloo" ozdobiona jest obrazami historycznemi. Dnia 18 czerwca każdego roku, król angielski wydaje bankiet, na którym jest obecny każdorazowy reprezentant rodziny marszałka Wellingtona of Wellesley, zwycięzcy spod Waterloo.





Na lewo: Reprezentanci angielskiej dynastji. Od lewej: ks. Kentu, zmarły król Jerzy V, były król Edward VIII i obecny król Jerzy VI poprzednio książę Yorku. Zdjęcie zrobione podczas rewji floty wojennej w Spithead.



Na lewo: Gmach nowego Muzeum Białowieskiego znajduje się w parku pałacowym w Białowieży.

Muzeum Puszczy Białowieskiej

Rzadko które muzeum, zwłaszcza muzeum przyrodnicze, posiada swój odrębny wyraz, nadający mu charakter turystycznej atrakcji, czy też podnoszący jego wartość ponad normy czysto statystyczno-naukowe. Zapytajmy się, czy my — mieszkańcy miast, Krakowa, Poznania, Warszawy znamy swe muzea przyrodnicze? Napewno nie! Jeśli zwiedzaliśmy je, to jeszcze za czasów szkolnych i to nie bez pewnego przymusu. W pewnym stopniu jesteśmy usprawiedliwieni. Muzea, w których zebrano rząd wypchanych zwierząt, czy miljon zasuszonych roślin, nie mogą nas pociągać, jeśli nie jesteśmy specjalnie zamiłowani w danym temacie.

Piszący niniejsze słowa... nie jest aniołem! I on również od swych czasów gimnazjalnych widział... bardzo niewiele muzeów przyrodniczych! A te, co widział, przyznaję szczerze, nie zrobiły na nim wybitnego wrażenia.

Pewnego jesiennego popołudnia zagnało mnie jednak — niemal zupełnie przypadkowo — popod mury pałacu Pana Prezydenta R. P. w Białowieży. Miałem już za sobą pełny, przepisowy program pobytu w Puszczy Białowieskiej i okolicy. Więc i zwierzyniec żubrowy, i kilka spacerów po puszczy, która teraz w jesieni rozbłysnęła pełnią złotych kras. Pozostał do zwiedzenia ów pałac, a w jednem ze skrzydeł pałacu — muzeum zoologiczne.

Buntował się we mnie przed tem białowieskiem muzeum turysta, który dostąpił zaszczytu oglądania muzeów Warszawy, Budapesztu i innych stolic Europy. Buntowała też się tak zwana dusza, naładowana właśnie po brzegi pięknem żywem olbrzymiej Puszczy, przed wkroczeniem w progi przybytku muzealnej śmierci... W rezultacie jednak znalazłem się w salach Muzeum Białowieskiego i — o dziwo — spędziłem tam dobrych kilka godzin.

Trudno opisać muzeum, jeśli nie chce się podawać suchych spisów okazów, podanych w dodatku po łacinie.

W czem tkwi owa odrębność wyrazu Muzeum Białowieskiego? Oczywiście nie w tem, iżby zgromadzono tutaj jakieś nadzwyczajne okazy, jakieś dziwolągi przedpotopowe. Muzeum samo w sobie mogłoby nawet uchodzić za dość przeciętne — należy je jednak rozumieć nie jako oderwaną całość, lecz jako uzupełniającą ilustrację tego wspaniałego kolosa, rozpościerającego się stąd, z Białowieży, dziesiątki kilometrów na północ, wschód i zachód, owego państwa potężnego — Puszczy. Tworząc Muzeum Białowieskie ustanowiono zasadę: w muzeum znajdą pomieszczenia wyłącznie okazy zwierząt, żyjących w Puszczy. Jeśli weźmiemy teraz pod uwagę, że Puszcza Białowieska, to jednolita, zwarta całość, że jest to właściwie jeden las (las największy na niżu europejskim) zrozumiemy, jak bardzo ciekawą będzie odpowiedź na pytanie: co też w tym ejdnym lesie żyje, jakie bogactwa fauny kryją się w jego niedostępnych uroczyskach!

Turysta, który zwiedza naszą Puszczę Białowieską pojęcia nawet mieć nie może o wspaniałem bogactwie życia lasu. Zagłębia się on w Puszczę tylko w granicach możliwości kilkugodzinnego spaceru. Nawet i wytrawny myśliwy polujący w Puszczy nie spotka na swych wyprawach wszystkich zwierząt posiadających tu swe królestwo. Dużo zwierząt jest bardzo płochliwych. Niektóre znajdują się tutaj w ilościach bardzo nielicznych — np. rysiów, według ostatnich obliczeń niema w Puszczy więcej ponad dziesięć. Zagłębiając się więc w tajemnicze ścieżki Parku Narodowego, będącego wprost pierwotnym rezerwatem odwiecznej puszczy, wyczuwa się jedynie intuicją, iż w głębi lasu, może nawet niedaleko od nas czają się oczy niewidzialnego lisa czy gronostaja...

Według publikacji inż. J. J. Karpińskiego żyją obecnie w Puszczy następujące ssaki: jeleń, daniel, sarna, dzik, ryś, wilk, zając, lis, borsuk, kuna, tchórz, wydra, gronostaj, łasica i wiele innych mniej znakomitych typów. Z ptactwa napotkać można: głuszca, cietrzewie, jarząbka, puhacza, orliki, jastrzębie, myszołowy, kanie, żórawia, czaplę, czarnego bociana, nurki, perkozy i dziesiątki dalszych bardziej popularnych. Z gadów nierzadką jest żmija zygzakowata, padalec, a także i żółw. Cóż za wspaniałe bogactwo fauny! Wprost trudno uwierzyć... dopóki nie obejrzy się Muzeum Białowieskiego, gdzie wszystkie okazy reprezentowane są starannie wykonanemi eksponatami.

Postanowiłem wyżej nie wyliczać wszystkich gablotek muzeum w porządku chronologicznym czy numerycznym. Godzi się jednak wspomnieć o kilku specjalnie interesujących szczegółach, więc o sali żubra — gdzie widzimy osobno szkielet tego wspaniałego stworzenia, osobno zaś całą rodzinę żubrzą od najmniejszych nowo-narodzonych żubrzątek. Muzeum szczyci się pozatem kil-



Puszcza Białowieska w wielu miejscach jest nieprzebytym gąszczem.



Na prawo: Oto rzadki okaz białej sowy, znajdujący się w zbiorach Muzeum Białowieskiego.



Miło się gawędzi na bezdrożach puszczy...

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. R. BURZYŃSKI, WARSZAWA.



Na lewo: Z eksponatów Muzeum Białowieskiego: księżę kniej polskich — ryś.

koma okazami rzadkich albinosów, jak białej jaskółki, białej wiewiórki, a także jednym z nielicznych w muzeach europejskich okazem białej sowy.

Na szczególną uwagę zasługuje jedyna podobno — tego rodzaju na świecie — kolekcja ptaków — zwanych „bojownikiem bataljonem". Bojownik — to ptaszek niewielki, tyle co duży szpak, posiadający jednak nieco dłuższe nogi. Samiczka bojownika jest pospolitym nie zwracającym na siebie uwagi ptaszkiem. Jest szaro-bronzowa i nie posiada żadnych ozdób. Takim samym zresztą jest samiec. Ten jednakże, raz do roku, w okresie godowym zrzuca z siebie szare i bronzowe piórka i przedzierzga się w niesłychanie barwnego ptaszka, wobec którego wszystkie osławione kolibry i rajskie ptaki są mizerotą. Nie dość na tem! Długie obserwacje ustaliły, iż nie istnieją dwa samce bojownika, któreby otrzymały w owym okresie jednakowe lub choćby podobne upierzenie. Jest ono zawsze różne, zarówno kształtem, jak i barwą. W Muzeum Białowieskiem znajduje się specjalna gablotka bojowników: pomieszczono w niej kilkanaście okazów samców bojownika-bataljona, z których każdy przedstawia typ tak różnorodny, iż zdawaćby się mogło, że ma się do czynienia nie z jednym i tym samym ptakiem, lecz z różnemi — już nie odmianami, ale wprost różnemi gatunkami ptaka.

Z okazów, pokazywanych jako unikaty, należy jeszcze wymienić popielatego zająca (jedyny okaz muzealny w Polsce), a także zbiór sów, uchodzący za najbogatszy w kraju. Imponujący jest zbiór jaj ptasich, z których niejedne robią wrażenie artystycznie wykonanych kolczyków czy wisiorków.

W chwili obecnej Muzeum Białowieskie mieści się w kilku bardzo ciasnych salkach, wydzielonych w pałacu Pana Prezydenta R. P. w Białowieży. Znalazły się jednakże odpowiednie fundusze, dzięki którym zbudowano w bieżącym roku oddzielny pawilon dla Muzeum, który stanął w malowniczym zakątku parku pałacowego. W najbliższym czasie zbiory Muzeum Białowieskiego zostaną tam przeniesione.

Muzeum Białowieskie, w nowej siedzibie, stanowić będzie niewątpliwie wielką atrakcję dla turystów, będąc jednocześnie pomocą naukową w poznaniu Polski.

Roman Burzyński.

(dokończenie ze strony 5).

ków domów panujących świata — reprezentowanych przez ich ministrów i ambasadorów.

Przy dźwiękach hymnu „God save the King" First Gentleman i First Lady opuszczają kaplicę. Kawalerowie salutują, a w powietrzu, zdawało się, unosi się ciężki szczęk zbroi tysiąca rycerzy, poległych za ojczyznę w ubiegłych stuleciach, dając znak, że ich duch czuwa nad murami prastarej siedziby.

* * *

Jest rzeczą zupełnie zbyteczną wspominać, jak bezcenne skarby Zamek zawiera w postaci bibljoteki, posiadającej bezcenną kolekcję sztychów, wspaniałych mebli francuskich, nabytych przez Jerzego IV. przeważnie podczas rewolucji francuskiej, muzeum porcelany, galerji obrazów najsławniejszych malarzy, z odrębnemi pokojami Rubensa i van Dycka, sali tronowych, zbroi i sztandary ostatnich 900 lat. A ponad wszystko — największy skarb — groby królewskie!

Zamek Windsorski jest nietylko skarbem dla Anglika, lecz żywą duszą. Tu przed królową Elżbietą po raz pierwszy została odegrana przez chórzystów kaplicy św. Jerzega, sztuka Shakespeara „Merry Wives", tu wreszcie odbyła się najsmutniejsza w historji uroczystość pogrzebowa nazajutrz po egzekucji Karola I.

* * *

W pochmurny poranek dżdżystej jesieni, po zaopatrzeniu się w solidny „mackintosh" i parę smacznych „sandwiches", wybrałem się w odwiedziny Zamku.

W drodze na Dworzec Waterloo (Londyński dworzec jest w pojęciu Anglika najruchliwszym dworcem na świecie. Podobno „odjeżdżają" 2 pociągi na minutę), zdarzył się na Strand'zie, w pobliżu Charing Cross zabawny wypadek. Silny ruch uliczny został wstrzymany przez... czarnego kota, który nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo poważnie kroczył przez ulicę. Trzeba było widzieć wyraz zadowolenia malujący się na twarzach przechodniów! Czarny kot — zwiastun szczęścia!

Po kilku godzinach upajania się historją Anglji, zawartej w murach Zamku, „ładujemy" się do przepełnionego turystami pociągu.

Wkrótce spokój podróżnych pochłoniętych sprawozdaniem prasy o przebiegu wypadków w Hiszpanji, został zakłócony podnieceniem (rzecz tu źle widziana) turystki, która starała się wytłumaczyć konduktorowi, że w jej przedziale jedzie niebezpieczny warjat, który utrzymuje, że jest Napoleonem. Konduktor, z miną człowieka znającego się na rzeczy, zapewnił, że wszystko jest w porządku, gdyż następnym przystankiem jest Waterloo!

Alexander Sackiewicz,
(Surbiton) Anglja.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Jeden z czytelników rzucił projekt zamieszczania kompletnego wykazu stale wydawanych nowości (może narazie tylko Europy?) i przypuszczamy, że jeśli głosy podobne napływać będą w większej liczbie, wówczas Redakcja zgodzi się na powiększenie działu filatelistycznego.

Omawialibyśmy naturalnie zawsze szczegółowo najładniejsze serje, a przy innych wymienialibyśmy tylko wartość nominalną każdej sztuki, barwę, rodzaj druku ewent. wysokość nakładu itp. „Kącik" zastąpiłby w ten sposób dodatki do katalogu, na które zresztą trzeba czekać aż cały miesiąc, i mielibyśmy już bezporównania wcześniej wartościowe komunikaty. Piszemy wartościowe, bo obecnie należy się starać o wiele nowości natychmiast po ich wydaniu, bo w kilka dni nakład bywa już często wyczerpany.

Przykładów tego zjawiska jest aż zadużo: serje „FIS", jubileusz króla Jerzego V., polskie „Gordon-Bennett" itd., to samo zaś stało się w ub. miesiącu z belgijskiemi blokami wystawowemi „Borgerhout" i „Charleroi". Cena nominalna wynosi 3 fr. (54 grosze), w tydzień po wydaniu oferowano je po 20 fr., teraz w polskich firmach kosztują 6 zł. 50 i któż zgadnie za ile je będzie można dostać w 1937 r.?

Abdykacja króla Edwarda VIII wprowadziła także niebywały zamęt i w ministerstwie poczt, bo zapasy znaczków z Jerzym V są na wyczerpaniu, a oddawna przygotowane serje z nowym królem nie zostaną chyba wydane. Zapowiedziane na 1 stycznia muszą być wycofane.

W. H.

ODPOWIEDZI REDAKCJI. Mgr. St. Bałowski, Katowice. Za miły list i znaczek dziękujemy. Jeśli chodzi o pełny wykaz nowości czekamy na głosy innych Czytelników.



»KUMOSZKI«

FOT. STANISŁAW CIERNIAK – POZNAŃ



Adam Pawłowski: »Nastrój«.



Tadeusz Wański: »Kasztany«.

Z WYSTAWY FOTOGRAFICZNEJ

W POZNANIU

Odkąd kunszt fotograficzny zdobył szerokie sfery inteligentnego społeczeństwa, zmienił on częściowo swój pierwotny charakter: fotografja przestała już być jedynie sposobem utrwalania pewnych pamiętnych w życiu wydarzeń i pogłębiona, nabrała cech prawdziwego artyzmu. Nie wystarcza już dzisiaj przeciętnemu amatorowi fotografji „uchwycić" wiernie kontury miasta, osoby czy przedmiotu, lecz chodzi mu o to, aby zdjęcie odzwierciadlało też jego osobiste zdolności artystyczne, aby obraz przestał być... fotografją, czyli wiernem odbiciem rzeczywistości, a nabrał cech dzieła sztuki.

Pod tym też kątem widzenia urządza się liczne wystawy fotografji artystycznej i powstają odpowiednie towarzystwa, skupiające dużą ilość amatorów tego szlachetnego kunsztu.

Ostatnio zasłużone „Poznańskie Towarzystwo Miłośników Fotografji" urządziło w foyer Teatru Polskiego w Poznaniu ciekawą wystawę prac swych członków. Wystawa, jak można sądzić choćby z reprodukowanych obok ilustracyj, odznacza się wielkiem bogactwem tematów, oryginalnem ujęciem przedmiotu, jak również dobrą techniką. Ogółem wystawiono 65 plansz, będących owocem pracy czternastu fotografików, a większość zdjęć wykonana jest w technice bromowej.

Wysoce ciekawą jest naprzykład fotografja Adama Pawłowskiego, odznaczająca się „pastelowemi" walorami i stanowi niejako kontrast silnie zarysowanego zdjęcia Tadeusza Wańskiego, członka Kapituły Fotoklubu Polski. Gra świateł wieczornych na potężnych murach Teatru Wielkiego w Poznaniu jest znowu głównym walorem pięknego zdjęcia Adama Toczyńskiego.

Tegoroczna wystawa fotografji artystycznej w Poznaniu — to bezwątpienia ciekawy przyczynek do dziejów rozwoju tej sztuki na ziemiach zachodnich Polski.

J.



Adam Toczyński: »Portal«.

BETTA SPLENDENS

WANDA ROJCEWICZOWA

NOWELA

Spotkałem dziś Andrzeja — zmieniony był i blady.

— Chciałbym z tobą pomówić — rzekł mi na wstępie.

— Dobrze — odpowiedziałem — chodźmy do kawiarni.

Rozmowa nie kleiła się, więc siedząc w cichym kącie, piliśmy milcząc mokkę i koniak.

— Przeżyłem dwa treściwe wieczory, zaczął cicho — wczoraj, jako przyrodnik i artysta, dzisiaj — jako człowiek.

— Wiesz, jak lubię ryby i jak dużo czasu im poświęcam; nie mogę zrozumieć, dla czego ludzie hodują jakieś głupie roślinki w doniczkach — asparagusy czy bezduszne, jakby polakierowane figusy, a nie hodują ryb, o żywych, intensywnych barwach, ciekawych w linji — o wiele piękniejszych od kwiatów.

— Mówisz o rybach słodkowodnych?

— Tak, najczęściej pochodzących z Amazonki — odrzekł.

Ostatnio udało mi się dostać do swego akwarium śliczny okaz Betta Splendens, właściwie Betta Cambodia — szafirowego bojownika, wiesz? Sposób, w jaki się rozmnażają — jest fascynujący.

Niestety, to się nie da opisać — to trzeba widzieć — wtedy się zrozumie, jak przyroda szafuje energją i pięknem — aby utrzymać gatunek.

Od kilku dni zaobserwowałem, że czas tarła się zbliża, gdyż samiec budował pracowicie eteryczne gniazdko z pęcherzyków wodnych — schron dla małych in spe.

Wczoraj, w okresie swej rybiej miłości — był cudowny: mienił się jak szafirowa emalja o różnych tonach, pływając niestrudzenie wokoło niepozornej — ciężkiej, pełnej ikry samiczki.

Wreszcie owinął ją swem szafirowem ciałem — imperatywnym, wściekłym uściskiem, wyciskając z niej ikrę, która strzeliła różową fontanną, a będąc lżejszą od wody — wypływała powoli na powierzchnię, łącząc się z mleczem.

Samica, jak niepotrzebny strzęp — opadła wyczerpana na dno, a on spełniając rozrodczy nakaz życia — wciąż trwał na straży, wachlując pletwami i ogonem skupiającą się ikrę, to nosząc ją w pyszczku do gniazdka z wodnych, tęczowych kulek.

— Przywiązany jestem do niego — dodał z uśmiechem — wyhodowałem go i doprawdy — jest to wyjątkowo piękny okaz!

Wczoraj, miałem nieostrożność opowiedzieć Renie, że w Sjamie ludność miejscowa urzadza walki pomiędzy temi rybkami: dwa samce wpuszczone do szklannego naczynia walczą zaciekle i najczęściej oba giną: tubylcy robią wysokie zakłady, pasjonując się — jak inne ludy do walki byków, czy kogutów.

Renie zabłysły oczy — zaczęła tulić się do mnie i prosić, abym jej swego szafirowego bojownika — pokazał.

— A czy masz i inne samce? — zapytała.

— Naturalnie, mam — ale ten jest najpiękniejszy; mam purpurowego, zielonego, kilka złocistych — a wiesz, że za każdym razem, rodzą się też albinosy.

— Ale czarnych rybek napewno niema na świecie? — rzekła.

— Owszem, Mollienisie — bywają zupełnie czarne — matowe, bez połysku, jak płatki sadzy; tak czarne, że oczu ich nie widać.

— To takie, jak ja — zawołała, mrużąc swe wielkie, czarne oczy.

— A wiesz, Reno — dodałem — uczeni dowodzą, że ryby o czarnem zabarwieniu mają przytępiony wzrok.

— To tak jak ja — roześmiała się znowu figlarnie — gdy nie chcę czegoś widzieć, albo słyszeć — to zaraz wzrok i słuch mi sie dziwnie przytępia.

— ???

— Naprawdę...

— Mój złoty, musisz mnie dzisiaj zaprosić do siebie na five o clock-tea i pokaz swoich cudów akwariowych — dobrze?

— — — — — — — — — —

— Nie, nie, nie — żadnych zajęć, żadnych wykładów.

— Przychodzę dzisiaj i koniec!

— — — — — — — — — —

— Nic nie widzę i nic nie słyszę, śmiała się, zatykając sobie uszy piąstkami, nic nie słyszę. Przecież jestem twoją czarną rybką: wzrok i słuch mi się dziwnie przytępia, gdy masz zamiar mi czegoś odmówić...

Przytuliła się do mnie, owinęła rączkami — podała usta.

Co miałem robić?

— — — — — — — — — —

Przyszła.

Musiałem jej pokazać całą swoją hodowlę, o wszystkiem opowiadać, tłumaczyć.

Rozkoszna była: w białej sukience z roziskrzonemi oczami — wyglądała, jak biały kwiat.

— A to co? a to co? — pytała.

— To są ryby księżycowe — „Pterophyllum Scalare".

— Jaki dziwny kształt mają — zupełnie podnobne do storczyków — rzekła.

— A to są „Gębacze" — wiesz, że samica nosi zapłodnioną ikrę w pyszczku około dwu tygodni, oczywiście nic nie jedząc i zdarza się, że słabsze egzemplarze giną śmiercią głodową.

— To straszne — szepnęła Rena.

— A co tak zakrzyczało głośno? Przecież nie ryba?

— Owszem, właśnie ryba; jeszcze jeden przesąd ludzki o zwierzętach musi ulec zmianie: ryby ani są zimne, ani — nieme: ten donośny głos, który słyszałaś przed chwilą, wydawał samiec, zwany „Ctenops vittatus". — Górami Warczący — ojczyzną ich jest Jawa.

— Jakie to dziwne — przerwała Rena — i jakie te wszystkie rybki są prześliczne — ale najcudniejszy jest twój szafirowy bojownik, piękniejszy od szkarłatnego.

— Ach, te delikatne pletwy, długie, długie — jak welony z gazy, — mówiła — i ten śliczny sposób poruszania się, — szczebiotała, kręcąc główką jak ptaszek, aby lepiej widzieć.

— Roślinki też posiadasz ładne.

— Tak — odrzekłem — te oto szerokie liście pływające na powierzchni, to „Pistia stratiotes" a te...

— Nie, nie chcę roślin, nie chcę „stratiotes" — tylko bojownika!

— Słuchaj — a żeby na tycią, malutką tylko chwilę — na „chwileczeczkę" wpuścić do niego purpurowego samca? — szepnęła błagalnie.

— Dobrze — rzekłem — tylko przegrodzę je szybą przez środek akwarium; zobaczysz, jak będą się ślicznie puszyły.

Tak też zrobiłem; po chwili, oba samce zauważyły swą obecność i zaczęły się mienić pod wpływem gniewu.

— Ależ to cudo — zawołała Rena — zobacz, mają metaliczne połyski i coraz to są ciemniejsze — a pletwy i ogony rozpościerają jak ptaki — zupełnie jak pawie!

Nozdrza jej drgały i rozszerzonemi źrenicami wodziła za bojownikami, którym zaczęły czernieć głowy: znak najwyższego podniecenia.

Krążyły koło siebie wściekłe, oddzielone tylko szybą.

— Przynieś mi herbaty, mocnej herbaty — odezwała się raptem Rena.

Wyszedłem, aby wydać polecenie podania herbaty.

Ach, pocóżem to uczynił! Nadomiar złego — zadzwonił telefon: wiedziony złem przeczuciem, prędko zlikwidowałem rozmowę i powróciłem do akwarium.

Nie, nie potrafię ci opowiedzieć widoku, który mną przy wejściu wstrząsnął: Rena stała z ochronną szybą w ręku, drugą rękę trzymała przy ustach — widocznie, aby nie krzyczeć i w swej nieprzytomności — gryzła ją tak, że krople krwi spływały po palcach i białej sukience; w szeroko rozwartych oczach malowało się okrucieństwo — szał — zapamiętanie.

Straszna była.

Na dnie akwarium — dogorywał szkarłatny bojownik: bezkształtna, drgająca masa.

Na powierzchni wody pływały różnokolorowe strzępy skóry i kawałki mięsa, a mój ulubiony „szafirowy rycerz" — bez ogona i pletw — w ostatnim paroksyzmie wściekłości — uderzał o coraz to inną szklaną ścianę.

Patrzyłem w milczeniu — to na nią — to na bojownika — i wszystko co czułem dla tej kobiety, cała moja miłość — gasła — jak słońce przy zachodzie...

Wyszedłem bez słowa — uciekłem.

Przed godziną odesłałem jej wszystkie listy i — akwarium z trupami Betta Splendens.

— — — — — — — — — —

Zaciągnął się; dym, jak gazowa osłona — zakrył mu twarz.

— Jesteście skwitowani, — powiedziałem — i wyszedłem z kawiarni.

—o—

»DEUS EX MACHINA«



Jakże proste były dekoracje w teatrach w XVII wieku! Oto scena londyńskiego »Red-Bull Theatre«. Sztych z roku 1672.

Trzy różne zarysowują się przed nami tendencje w ujęciu teatralnem zjawisk scenicznych. Teatr operując z jednej strony znakami umownemi, symbolami, zastępującemi w nadmiarze wszelką pomysłowość i postęp techniczny, rozwijał jednocześnie tendencje ku udoskonaleniu aparatury scenicznej, a wyrazem jej w starożytności był przysłowiowy grecki „deus ex machina". Trzeci wreszcie kierunek, nie wykraczał poza tę rzeczywistość, którą daje zwyczajne wnętrze sceny, bez szczególnej pracy wyobraźni lub pomysłowości technicznej. Trzeci ten kierunek obserwujemy zarówno w klasycznym teatrze francuskim, jak i w pewnych odgałęzieniach naturalizmu końca XIX wieku.

Kierunek umowny, symboliczny, wymagający szczególnej aktywności wyobraźni, rozwijał się przedewszystkiem w teatrach azjatyckich Indyj, Japonji i Chin, teatr techniczny zaś w Europie naprzemian z wspomnianym teatrem klasycyzującym, opierającym się na realiźmie wnętrza scenicznego. Rozwój teatru, posługującego się skomplikowaną aparaturą techniczną, widzimy zarówno w Grecji, jak i w Rzymie. Późne średniowiecze wraca do tych środków, które ostateczny swój wyraz znajdują w najtypowszym teatrze trików mechaniczno-świetlnych, na scenie baroku. W XVIII wieku w epoce rokoka, później empiru, zwycięża kierunek klasycyzmu francuskiego, obywającego się bez wszelkich nadzwyczajności technicznych i wyobraźniowych. Jedyny wyjątek stanowi tu opera, biorąca tematykę z krainy baśni i legendy.

Biedermayer dopiero, równocześnie z powstaniem wielkiego przemysłu, zaczyna wprowadzać coraz bardziej złożoną mechanikę urządzeń scenicznych. Kierunek ten potęgował się aż do czasów najnowszych a znalazł swój punkt szczytowy w Niemczech w latach 20-tych b. st. Nowości wprowadzone w XX wieku objęły wszystkie dziedziny techniki scenicznej. Zmieniono architekturę i konstrukcje budynków teatralnych. Wprowadzano coraz więcej maszyn na scenę, uwielokrotniono urządzenia oświetleniowe, wprowadzono nowe materjały do dekoracyj.

Wiele doświadczeń przeprowadzano również nad budową wnętrza teatrów, zwłaszcza widowni i sceny oraz wzajemnego stosunku. Odgrywały tu rolę różne czynniki, jak: zaopatrzenie sceny w bogate możliwości techniczne, umieszczenie widowni na najmniejszej przestrzenią, możliwie największej ilości widzów, a poza tem widoczność i „słyszalność" każdej akcji scenicznej dla wszystkich obecnych.

Z końcem XIX wieku dokonano pierwszych wielkich przemian. Celem usprawnienia szybkości zmiany dekoracyj, a z drugiej również strony zabezpieczenia ich przed ogniem, usunięto większość wiszących części, przedstawiających lasy, góry, skały, lub fragmenty architektury. Dawna przeładowana scena ustępuje bardziej ekonomicznej, gdzie każdy objekt powinien mieć wystarczającą motywację w danej akcji scenicznej. Jedno z wydawnictw teatralnych niemieckich, umieściło zestawienie fotograficzne inscenizacji oper wagnerowskich na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Najnowsze inscenizacje w porównaniu z najstarszemi wydają się, jakby odbywały się na zupełnie pustej scenie. Stare natomiast rażą nas natłoczeniem niepotrzebnych szczegółów.

Druga reforma sceny dotyczyła konstrukcji mostów, galerji, ramp i kulis scenicznych. Drzewo zastępowała coraz częściej żelazna konstrukcja, a siłę ludzką praca maszynowa. Tak w latach 80-tych ubiegłego stulecia wprowadzają Węgrzy tłoki hydrauliczne, zastąpione potem siłą elektryczną. — Również założone w latach 30-tych ubiegłego stulecia światło gazowe, wyparte zostało przez nowoczesne reflektory. Na dawnej sce-



Dekoracje w sztuce »Jonny zagrywa« (»Jonny spielt auf«) — w operze państwowej w Wiedniu.



W kole: Scena i widownia w królewskim pałacu w Neapolu podczas uroczystego przedstawienia 1749 r. Sztych G. Viesi.



Na lewo: Korytarze w teatrze »Pigalle« z oryginalnem oświetleniem w suficie.

Poniżej: Widownia w nowoczesnym paryskim teatrze »Pigalle«.





Dekoracje sztuki »Il Pellegrine« w teatrze weneckim, 1552 r.

nie, jedynem źródłem światła była dolna rampa sceniczna, składająca się pierwotnie z metalowej rynienki, połączonej z lichtarzami, w których paliły się świece. Taką rynienkę, opatrzoną w mechanizm podnoszący ją i obniżający spotykamy jeszcze w teatrze królewskim w Łazienkach w t. zw. Pomarańczarni. Świece te zastąpiono palnikami gazowymi, aż wreszcie żarówką. W miarę usuwania nadmiaru wiszących części rekoracyjnych, wzbogacano oświetlenie. Dawne mosty, podtrzymujące owe dekoracje zastąpiły górne rampy świetlne. Umieszczono również w szeregu teatrów (niestety nie w Polsce) rampy świetlne na widowni, a loże skrajne tuż przy scenie I lub II piętra, zamieniono na operatornię reflektorów. Naprzeciw sceny umieszczono w wielu teatrach budkę filmową. Wspomaga ona efekty dekoracyj.

obrotowych. Scena obrotowa pierwotnie ograniczała się do ruchomej powierzchni. Zczasem poruszał się przy obrocie również spód lewego wycinku sceny, w którym montują pomocnicze urządzenia techniczne. — Kilkanaście lat temu wprowadzono wreszcie podłogi sceniczne kombinowane z obracających się w rozbieżnych kierunkach płaszczyzn, kół, wycinków koła i pasów. Dodatkowo wprowadzono nieraz w liczbie kilkunastu wozy dekoracyjne, poruszające się poniżej poziomu podłogi scenicznej, a zabudowane wycinkami poszczególnych fragmentów dekoracyj. Mechanizmy te umożliwiły zmiany dekoracji na oczach widzów, redukując przerwy do koniecznych, ze względów psychologicznych, krótkich antraktów. Rozbudowano boki sceny i oddzielono je nieakustycznemi ściankami. To urządzenie zastosowane również na „zapleczu" sceny, umożliwiło montaż poszczególnych dekoracyj nawet wśród trwania spektaklu.

Przemianom tym podległa również t. zw. „orkiestra", którą starano się coraz bardziej ukryć. Prof. Maks Littman skonstruował nawet w roku 1908, szczególną przestrzeń orkiestralną, która mechanicznie mogła być zakryta powierzchnią ruchomych schodów, użytkowanych scenicznie. W razie potrzeby schody owe odsuwało się. Podłoga orkiestry wraz ze ścianami bocznemi wysuwała się do góry i zajmowała to miejsce, jakie ma w innych tradycyjnych teatrach.

Uwagi eksperymentatorów nie uszła również widownia, gdzie wprowadzano najrozmaitsze kształty sal, np. w formie trapezu, którego najkrótszy bok stanowiła rampa sceniczna. Zasadniczo w salach, mających



Dekoracje teatru niemieckiego według sztychu z 1655 w dziele »Deutsche Schaubühnen I. Theyl«.

pomieścić parę tysięcy widzów operuje się dziś systemem amfiteatralnych wzniesień, czyli wraca do teatru antycznego.

Dawne sferyczne sklepienie zastępuje się w celach akustycznych konchą, wznoszącą się w miarę oddalania od sceny. Część widowni pochłania nieraz rozbudowywane proscenium, celem nawiązania łączności widowni z widowiskiem.

Na widownię usiłowano wprowadzić również analogiczne urządzenia, jak na scenie, a więc ruchome części podłogi i oświetlenie reflektorami, by widza ani na chwilę nie wyprowadzić z iluzji scenicznej.

Jednem ze źródeł przemian były również względy bezpieczeństwa i higjeny. Obawy przed pożarami nakłoniły dyrekcję teatru do jak najczęstszego stosowania metalu na scenie i widowni. Skrajnym wyrazem tego był teatr globusowy Piscatora, skonstruowany



Ciekawą inscenizację tragedji Schillera »Wilhelm Tell« dał wiedeński Burgtheater w 1905 roku.



Potężne wartości dekoracyjne posiada projekt inscenizacji »Boskiej Komedji« Normana Bel-Geddes.

Zmieniły się również „deski sceniczne". Dawną pochyloną ku widowni podłogę zastąpiowo zwyczajną, poziomą. Podłoga pozioma ułatwiła poruszanie się artystów po scenie i umożliwiła szybką budowę dowolnych konstrukcyj. Ułatwiła również pracę suflera, który łatwiej może ogarnąć wzrokiem całą scenę. Konstrukcja ta wpłynęła natomiast ujemnie na kompozycje grupowe, gdyż jedna osoba, kryje dziś drugą. Dzisiejsze sceny grupowe muszą operować rozrzuconemi dość daleko od siebie postaciami, nie mogąc uzyskać dawnej zwartości.

Obok budki suflera, mieszczącej się tak jak i dawniej w środku sceny, powstała druga budka elektrotechnika, kierującego całem oświetleniem. Trudności oświetlenia zwiększyły się zarówno wskutek prowadzenia coraz to nowych źródeł światła, jak i nowych elementów ruchu scenicznego. Jednym z takich elementów jest właśnie ruchoma podłoga czy to w formie podnoszonych pod dowolnymi kątami płaszczyzn lub nieco później wprowadzonych pasów ruchomych, a wreszcie wzorem teatrów wschodnich scen



Na lewo: Schody o oryginalnych poręczach w paryskim teatrze »Pigalle«.

całkowicie z żelaza. Nawet horyzont płócienny zastąpiono w wielu teatrach — aluminiowym, reflektującym daleko lepiej światło. Na horyzoncie tym można malować gwiazdy, chmury lub jakiekolwiek inne formy plastyczne, a później zmywać je w krótkim przeciągu czasu.

Przy budowie dekoracji wprowadzono również standaryzowane kostki, coś nakształt dziecinnych klocków kamiennych. — Upraszczały one pracę sceniczną, umożliwiając większą czystość i higjenę. Zamiast drzew malowanych i innych form nie wykonanych z owych kostek, tworzy się rekwizyty plastyczne z różnych półsztywnych materjałów.

W obecnej chwili rozpęd techniczny podległ znacznemu zatamowaniu, bo odwróciła się uwaga od maszyny i mechanizmu. Groziło zwyrodnienie sztuki w mechaniczną zabawę. W miarę opanowania nowego mechanizmu sceny, poczęto wynalazki stosować z umiarem i ostrożnością.

Dr. W. J. Dobrowolski.

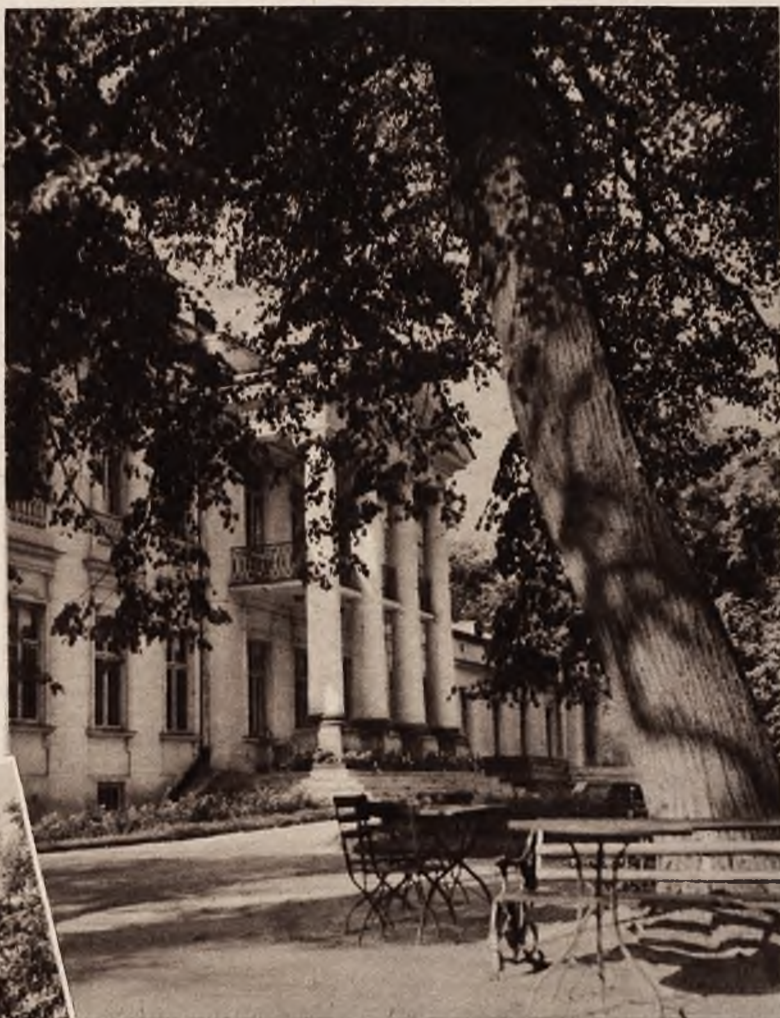
WŚRÓD BURZY ŚNIEŻNEJ...
Dolomity. *Fot. dr. P. Wolff.*



»OGRÓD WSPOMNIEŃ«

Łazienki Królewskie, reprezentacyjny park stolicy wzbogaciły tego roku swe tereny przez włączenie wspaniałego Ogrodu Belwederskiego, który dotychczas ogrodzony wysokim murem, stanowił prywatną własność mieszkańców Belwederu.

Gdy odszedł ostatni Pan tego pałacu, marszałek Piłsudski, który w ciszy i pięknie tego ogrodu szukał odpoczynku po znojach swej ciężkiej pracy, gdy wiadomem się stało, że nikt już nie zamieszka tych komnat, mających być jeno świątynią pamiątek po Wodzu Najwyższym, Ogród Belwederski, miast trwać bezużytecznie, został otwarty przez połączenie go z Łazienkami, dla szerokiej publiczności. Przez swój górzysty teren, pełne uroku i poezji zakątki, oraz



Pałac belwederski od strony parku.



Stary wiąz i kamienna ławeczka — oto ulubiony zakątek parku, w którym chętnie przebywał Pierwszy Marszałek Polski.



Na prawo: Fontanna przed pałacem belwederskim od strony ogrodu.

zabytki dawnej architektury zdobniczej, w postaci świątyni Djany, mostu egipskiego, sadzawki z fontanną i innych stanowi Ogród Belwederski bodajże najpiękniejszą partje Łazienek.

Dawniej było tu bardziej dziko. — Marszałek nie pozwalał wycinać krzewów, porastających zbocza, przez co ogród sprawiał wrażenie jakiegoś uroczyska. Obecnie, przez wycięcie tych krzaków, poszerzenie alej i ustawienie ławek dla publiczności, ogród upodobnił się do swego dawnego sąsiada łazienkowskiego.

Ponad wzgórzem, ujęty w ramę prastarych drzew jaśnieje zdala bielą swych smukłych kolumn okazały fronton Belwederu.

Stroma ścieżka, szarą serpentyną przecinająca zbocze, prowadzi na piękny, obszerny taras pałacowy. Tu na górze, w najbliższem sąsiedztwie Belwederu, wszystko zostało po dawnemu. Z pośród starannie utrzymanych kwietników biją z cichym szmerem fontanny. Na wiosnę rabaty zakwitają błękitem niezabudek, był to bowiem ulubiony kolor Marszałka. Stare lipy ,wiązy i cisy, tworzą nad tarasem naturalne, cieniste pergole. Pod bliźniaczemi lipami stół ławka i kilka krzeseł. Tutaj lubiał Marszałek Piłsudski siadywać w wolnych chwilach. Z tarasu rozciąga się przepiękny widok na cały Park Łazienkowski, aż hen, daleko, ku samym niemal brzegom Wisły. Jesienią, gdy drzewa i krzewy ustroją się w królewską szatę purpury i złota, stary Park Łazienkowski staje się jakimś zaczarowanym ogrodem z baśni, pełnym niesamowitego wprost piękna i czaru.

Drugim ulubionym zakątkiem Marszałka była stara ławeczka, wykuta z jednego kamienia, pod jeszcze starszym od niej wiązem. Staruszek wiąz ma pień zupełnie pusty, burze pozbawiły go młodzieńczej krasy i siły, jednakże pielęgnowany troskliwie, trwa ku chwale swej chlubnej przeszłości.

Lewe skrzydło pałacu, które stanowiło prywatne mieszkanie Marszałka, posiada z narożnego pokoju wyjście na balkon, z którym wiążą się najmilsze chwile w życiu Marszałka z okresu „belwederskiego". Na tym to przecież balkonie przyjmował zazwyczaj Marszałek w dzień Swych Imienin życzenia od Swych córeczek, oraz dzieciaków z przedszkola Rodziny Wojskowej, mającego pomieszczenie w tem samem skrzydle pałacu.

Z tego też balkonu karmił zazwyczaj Marszałek ulubione gołębi, gnieżdżące się tuż obok w gołębniku, ustawionym wśród krzewów. Miska z wodą i ziarnem stoi jak dawniej na ścieżce przed balkonem, ale gołębie, choć się o nie dba i karmi, zdziczały.

— Zjedzą rano i lecą — opowiada stary strażnik ogrodu. — Niewiadomo, gdzie ganiają. Takie się to dzikie zrobiło, nie to, co dawniej. Z ręki jadły. Może i one czują, że niema już pana, co je tak lubiał.



Powyżej: Ulubieniec Marszałka alzacki owczarek „Pies" ze swym dozorcą.

Zato ulubiony owczarek alzacki Marszałka „Pies", stare, wierne psisko, nie opuszcza granic Belwederu. Nie wybiega nie nawet za bramę, towarzysząc stale dozorcy ogrodu. Za dnia łagodny

i przystępny, zmienia się Pies w nocy w czujnego i groźnego stróża. Biada temu śmiałkowi, który chciałby wtargnąć na teren Belwederu po zamknięciu bramy.

Tuż obok balkonu, na ścianie wystawionej na południe, rosną dwa spore już drzewka brzoskwiń, zasadzone dla córek Marszałka, gdy były jeszcze maleńkiemi dziewczynkami i nazwane są imieniem Wandeczki i Jagódki.

Na wprost balkonu biegnie piękna, stara aleja kasztanowa, mająca w księdze wspomnień Belwederu również swą wdzięczną kartę. Z cichą melancholją jesienią snuje się wzruszająca opowieść o Panu w niebieskim mundurze, o siwych sumiastych wąsach i srogich, krzaczastych brwiach, którego wielkie serce kryło nieprzebrane karby miłości dla maluczkich. Codziennie w południe gromadka dzieciaków z przedszkola oczekiwała niecierpliwie na zjawienie się swego ukochanego Dziadka, zarazem najmilszego towarzysza zabaw. Jakże radośnie brzmiały okrzyki powitania: „cześć, cześć!", gdy wreszcie zjawił się na balkonie i zeszedł między Swą gromadkę. Rozpoczynała się zabawa, z której częstokroć Pan z siwymi wąsami powracał z poobrywanemi kieszeniami niebieskiego munduru.



Balkon łączący się z gabinetem śp. Marszałka Piłsudskiego, obok na lewo brzoskwinia, którą pielęgnowała p. Wanda Piłsudska.

I dzisiaj, jak dawniej dzieciaki, pod wodzą swej wychowawczyni, maszerują w alei kasztanowej, wybijając maleńkiemi nożętami takt marsza. Ale już nie zatrzymują się przed balkonem. Drzwi na balkon zamknięte na zawsze.

Wokół Belwederu spokój i powaga. Coraz to nowe grupy zwiedzających Muzeum, opuszczając pałac, wychodzą na taras i przechodzą przez ogród. Przez ten ogród pełen wspomnień, w którym, zda się, została cząstka serca tego wielkiego przyjaciela dzieci i miłośnika piękna natury. Jest on związany tak ściśle z osobą pierwszego Marszałka Polski, że jest jakby jeszcze jedną komnatą pamiątek po Nim. Wielki park, pokryty śniegiem, zda się marzyć o czemś dalekiem...

Zofja Ordyńska.

SYBARIS

KOLEBKA ZBYTKU

W położeniu jak z bajki, ponad zatoką Tarentyńską, u wejścia Kratisu, w pobliżu dzisiejszego Terra Nuova, królowała przed wiekami, potężna wśród „Wielkiej Grecji", Sybaris.

W roku 720-ym przed Chrystusem, Lekrydzi, współrodacy Ajaksa, założyli tu kolonję, a jak wszystkie osady greckie, tak i Sybaris, wypełniona ożywczym tchem ojczystego kraju, rozrosła się wkrótce nad podziw.

W 100 lat niemal po założeniu, liczyła już 300.000 mieszkańców, a obwodu 50 stadjów (9 kilom.).

Panowała przez czas jakiś wyłącznie.

O bogactwach osady cuda opowiadają. Wiadomo przecie co znaczy „sybaryta".

Podczas uroczystych, z religijnemi świętami połączonych pochodów, występowało 5.000 jeźdźców, lśniących od złota i purpury. Ateny same w czasie największego rozkwitu zaledwie czwartą częścią tej ilości rycerzy poszczycić się mogły.

Spławne kanały łączyły miasto z morzem, a urodzajność otaczających je pól była tak wielka, że według słów Strabona, jęczmień przynosił tu setny plon.

Ogromne zyski ciągnęli „sybaryci" ze związków handlowych z ziemią macierzystą, a lasy z gór Sila już wówczas słynęły jako pierwszorzędny do zbijania galer budulec.

Oprócz tego posiadali sybaryci w pobliżu kopalnie srebra, których eksploatacja ustała dopiero w 16-tym wieku, tj. od chwili, gdy Ameryka zaczęła zalewać rynki europejskie tym szlachetnym kruszcem.

25 miast, już to na pobrzeżu jońskiem, już to na przeciwległych stokach morskich uznawało hegemonję Sybaris. Na bajkę niemal zakrawa, że bogata osada grecka była w stanie wyprowadzić na pole walki do 300.000 ludzi!

Jak wszędzie jednak, tak i tu, zbytek powodzenia i bez miary nagrodzone bogactwa, sprowadziły osłabienie ducha i zniewieściałość, wiodące zawsze prostą drogą do upadku.

A zbytki Sybaris przechodziły najśmielsze marzenia. Kto w mieście tem na poważanie współobywateli zasłużyć pragnął, odziewać się musiał głośną wówczas na pobrzeżach Morza Śródziemnego tkaniną lnianą, wyrabianą w Azji Mniejszej.

Do dziś dnia przechował się opis świątecznego stroju bogacza Alkistenesa, obstalowanego w Azji Mniejszej, a przeznaczonego na czas uroczystych procesyj.

Strój ten pokryty był kosztownym haftem, wyobrażeniami bożków, najrozmaitszych zwierząt, ludów i całą plejadą bóstw. Za strój ten zapłacono bajeczną cenę, bo równającą się 4 miljonom dzisiejszych franków!

Do spraw pierwszorzędnego znaczenia w życiu publicznem Sybarytów, należały uczty w czasie świąt religijnych. Prawo stanowiło, aby obywateli występujących z najwspanialszem przyjęciem, wieńczono w nagrodę złotemi koronami. I kucharzy, którzy się przy tej sposobności odznaczyli, sowicie obdarowywano.

Obywatele trudniący się hodowlą węgorzy, byli wolni od podatków, — przywileju tego używali również „strzelcy" z powołania, dostarczający na targ zwierzynę.

Sybaryci nietylko potraw, ale i napojów nadużywali, a przy ucztach, co według obyczaju greckiego było najniestosowniejszą rzeczą, zasiadały i kobiety.

Przyszła jednak chwila pokuty.

Po dwóch wiekach nadmiaru szczęścia i bogactw, zabrakło sybarytom sił do obrony własnej.

Około roku 510 przed Chrystusem, wybuchły w mieście rozruchy, skutkiem których stu najprzedniejszych obywateli wypędzono.

Wygnańcy schronili się do sąsiedniej osady greckiej, ojczyzny atlety Milona, do Krotonu, a gdy sybaryci zażądali ich wydalenia, i posłów krotońskich, przybyłych w tej sprawie do Sybaris, nielitościwie pomalowano, wybuchła wojna, której zakończeniem była zupełna zagłada Sybaris.

Mieszkańców zdobytej osady rozpędzono po świecie, miasto zrównano z ziemią a wody Kratisu zalały ongi mlekiem i miodem płynącą krainę.

Wprawdzie pod nazwą „Thurium" koloniści ateńscy odbudowali w r. 446-tym przed Chrystusem, Sybaris, nieopodal starych ruin miasta, nigdy jednak nowa osada nie dorównała nawet w przybliżeniu blaskiem dawnej.

Thurium w r. 194 przed Chr. zdobyli Rzymianie i zamienili jego nazwę na Copiae.

Przed kilkudziesięciu laty rozpoczęto pracę nad odkopaniem słynnej ongi osady, którą przez 2.000 przeszło lat pokrywały warstwą mułu wody Kratisu. Wykopaliska dotąd uzyskane stanowią cenny przyczynek do skąpych dotąd wiadomości z epoki od VIII do VI wieku przed Chrystusem.

Ks. K. D.

NAPOLEON Z COSPEDA.



Znaną jest rzeczą, że nawet najbujniejsza fantazja poety nie zdoła stworzyć takich sytuacyj, jakie co chwila spotyka się w prawdziwem życiu. Wstrząsająca sztuka ostatnio zmarłego dramaturga włoskiego Luigi Pirandello „Cesarz Henryk IV" rozgrywa się wokoło osoby bohatera, który doznawszy wstrząsu mózgowego, imaginuje sobie, że jest średniowiecznym cesarzem niemieckim i stosownie do tego organizuje sobie życie. Fikcja jego drugiej, „stworzonej" ad hoc osoby idzie tak daleko, że wypiera najzupełniej współczesnego człowieka.

Okazuje się, że nie potrzeba fantazji Pirandella, aby zdarzały się podobne „substytucje" psychologiczne, gdyż w okolicy miasteczka Jeny, znanej z wielkiej bitwy wygranej przez Napoleona, jak również, współcześnie, z zakładów optycznych Zeissa, mieszka niejaki Walter Lange, właściciel gospody „Der Grüne Baum zur Nachtigall", który od lat żyje w przekonaniu, że jest... Napoleonem I! W tego rodzaju wypadkach pomieszania osobowości niewiadomo nigdy, czy bohater uważa się za sobowtóra swego prototypu, jego wcielenie, czy też sztucznie wykorzystuje podobieństwo, aby się do niego upodobnić. Nie można zaprzeczyć, że skromny skądinąd oberżysta, zwany „Napoleonem z Cospeda" podobny jest do Napoleona I tak z twarzy, jak też z całej postawy. To samo wysokie, dobrze rozwinięte czoło, ta sama postawa, a również rysy twarzy przypominają wielkiego Korsykanina, chociaż nie posiadają uroku klasycznego, iście rzymskiego wzoru. Ale i to czem rozporządza Walter Lange starczyło mu, aby stworzyć sobie egzystencję zupełnie à part, w której przypomina on człowieka lunatyka. Cała gospoda przedstawia istne muzeum napoleońskie: na murach wiszą liczne sztychy, obrazy, broń itd. z epoki cesarstwa, a sam Walter Lange paraduje stale w mundurze małego kaprala, z wstęgą (nieco pomiętą i zbyt wąską zresztą) Legji Honorowej, w wysokich butach. Jest on znany nietylko w najbliższej okolicy i w całej Turyngji, ale również w znacznie większym promieniu.

Poniżej: „Bóg wojny" dozbraja się!



Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że się ma do czynienia z łagodnym warjatem, lub conajmniej człowiekiem, który z życia robi maskaradę. Tymczasem sprawa przedstawia się poważniej: Lange nie twierdzi bynajmniej, że jest potomkiem Napoleona I, ani też nie wysnuwa ze swego podobieństwa żadnych dalszych konsekwencyj. Poprostu znalazł on w skórze napoleońskiej właściwe dla siebie miejsce i czuje się w niej dobrze. To właśnie zamiłowanie prostego zresztą dosyć człowieka — do epoki napoleońskiej jest najdziwniejsze.

Dziwny wypadek Langego zainteresował m. in. uczonymi również znanego historyka niemieckiego, dra Pawła Holzhausena, który wydał liczne dzieła, omawiające życie wielkiego cesarza. Zwrócił się on do oberżysty spod Jeny z zapytaniem, jakiemi drogami rozwijało się psychologiczne zżycie się jego z Napoleonem I oraz jakie momenty popchnęły go w tym kierunku. Znany uczony zastanawiał się nad tem, czy życie oberżysty jest jakimś dziwnym figlem natury, czy też podobieństwo jego i upodobania napoleońskie mają jakąś głębszą podstawę. Oczywiście, że pierwszym krokiem do zbadania realnych podstaw „bonapartyzmu" u Langego byłoby zestawienie jego genealogji, wykazując czy faktycznie oberżysta turyngski nie jest potomkiem Napoleona lub jego brata ks. Hieronima? O ile wiadomo, dotychczasowe poszukiwania nie dały w tym kierunku żadnego pozytywnego rezultatu.

Skoro już poruszyliśmy wysoce zresztą ciekawy i nader trudny w swoich dalszych konsekwencjach temat przybierania cudzej postaci, to zaznaczmy, że tego rodzaju psychologiczne przemiany zdarzają się nieraz w historji, powodując ciekawe zmiany duchowe. Chodzi poprostu o to, iż dana jednostka, ze względów zresztą bliżej nieokreślonych, przyjmuje za swoje te wszystkie poglądy, odczucia itd., które znacznie wcześniej miała inna osoba. Odnosi się to nieraz nietylko do jednostek, ale nawet do całych narodów. Gdybyśmy chcieli znaleźć tego rodzaju przykłady, moglibyśmy sięgnąć do tegoż Napoleona I, który, posiadając w swoim charakterze, zewnętrznym wyglądzie i całej dynamice duchowej odpowiednie podłoże, niejako przejął na swoje barki rolę rzymskich cezarów i we wszystkich nieomal swoich czynach podkreślał to pokrewieństwo i analogję. Ten sam fenomen jak wiemy, występuje również u obecnego dyktatora Włoch, Mussoliniego, u którego istnieją pewne fizyczne cechy podobieństwa z dawnymi panami Rzymu. Ciekawszem bezwzględnie jest jeszcze to, że naród włoski przejęty ideologją swego duce, również wżył się w rolę następców Rzymian. Odczucie tej roli nastąpiło dziwnym zbiegiem okoliczności dopiero teraz i nawet czasy włoskiego renesansu, nie zdołały zdeklanszować tego psychologicznego odruchu. Podobne fakty obserwować możemu u Niemców, którzy dopiero po zjednoczeniu w r. 1870 poczuły się wielkim narodem, godnym następcą Arminjusza, pogromcy Rzymian. Świadczy to oczywiście o wykrystalizowaniu pewnych cech charakteru, o „zgleichszaltowaniu" dążności narodu no i o pewnej dozie fantazji, która w tym wypadku jest momentem podstawowym.

Temat, który nasuwa nam dziwna postać niemieckiego Napoleona, jest oczywiście bardzo śliski i dalekoby się zaszło, na bezdroża i ścieżki labiryntu, gdyby chciało się go rozwijać, nie dostrzegając Scylli i Charybdy rozumowania. Mimo to jednak nie można się oprzeć wrażeniu, że wiara Hindusów w wędrówkę dusz jest właściwie praktycznem wytłumaczeniem tego zjawiska.

Ale wróćmy po tej długiej dygresji do naszego oryginalnego oberżysty. Otóż okazuje się, że można być „prawym" Napoleonem I, a mimo to nie zaniedbywać bynajmniej swoich zawodowych obowiązków. Ręka przyzwyczajona do rozkazywania i do podpisywania aktów mianujących nowych królów, może również dobrze podawać niemiecką „Weisswurst" z bawarskiem piwem, lub też odkorkowywać butelki z napojami! W czasie wojny Walter Lange służył jak mógł swojej ojczyźnie w 82 pułku piechoty, a choć nie zdobył buławy marszałkowskiej, to jednak nie był gorszym żołnierzem od wielu innych.

Ale cóż! Przychodzą chwile, kiedy wielkiemu człowiekowi „in spe" nie wystarcza już jego skromny zawód, który dla niego jest prawdziwym zawodem.. życiowym i marzy on o laurach na polach Austerlitz, Jeny, Auerstädt lub Wagram. I wtedy opiera swoją dużą napoleońską głowę z charakterystycznym kosmykiem włosów na dłoni i marzy... A obok, przy stolikach siedzą ludzie, ciekawi turyści, którzy spoglądają na niego spodełba i zastanawiają się, czy mają do czynienia z fenomenem historycznym, czy z warjatem? **J. G. M.**

Napoleon z Cospeda w „życiu cywilnem".





Władczym gestem pokazuje szynkarz Lange drogę turystom..



Stojąc za „szynkfasem", myśli Napoleona biegną ku przeszłej sławie...

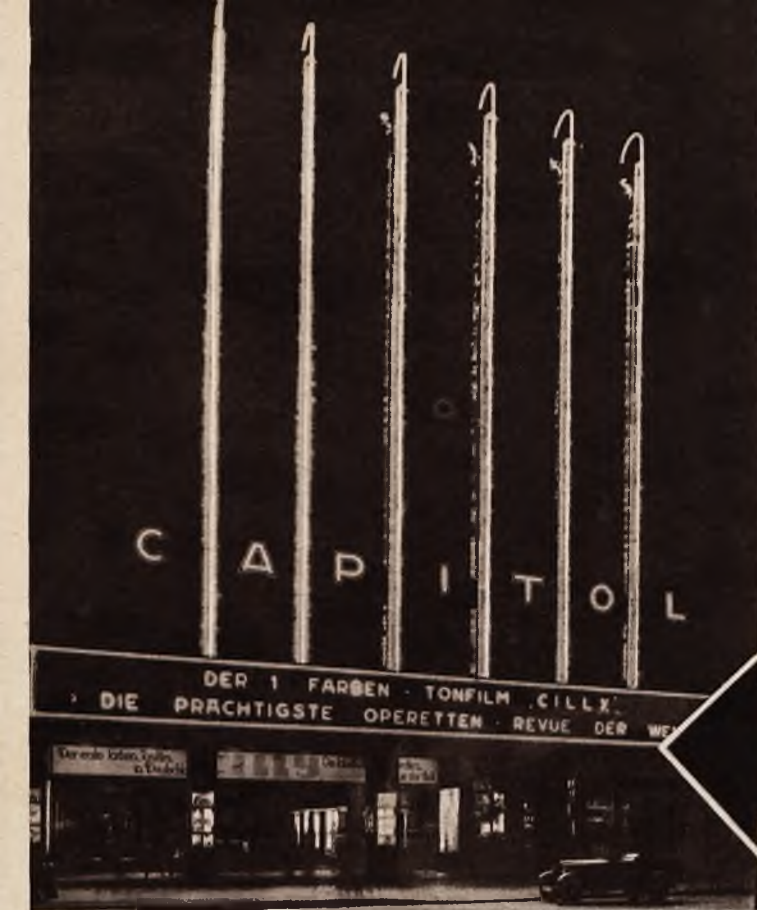


„Cesarz" spożywa skromny obiad „incognito".



Najwierniejszym towarzyszem Langego jest jego ukochany pies.

WYSTAWY I NEONY WOŁAJĄ...



Przykład wspaniałej iluminacji neonowej, zdobiącej cały fronton domu.

W okresie świątecznym, kiedy ludzie masowo zakupują najrozmaitsze rzeczy — warto zająć się i omówić kwestję estetycznego wyglądu sklepu czy wywieszki i witryny.

Reklama w dzisiejszych warunkach, gdy sklepy stoją jeden obok drugiego całemi szeregami na głównych ulicach — jest bardzo trudna. Trudności jednak wyodrębnienia się, zwrócenie uwagi przechodnia – klienta nie wykluczają bynajmniej estetycznego rozwiązania tego problemu. Dlatego też nie można znaleźć usprawiedliwienia dla szeregu kupców, którzy dołożyli wszelkich starań, aby ich sklepy wyglądały jak brudne, zarzucone towarem kramy azjatyckie. Nie trzeba dodawać, że okazy najgorszego gustu, dowody nieporozumienia i przestarzałe poglądy na wygląd zewnętrzny sklepu panoszą się nietylko gdzieś na peryferjach naszych miast, ale nawet w ich centrach.

Ktoś mógłby tłumaczyć ten stan ogólnym kryzysem. Tak jednak nie jest. Władze w wielu miastach Polski urządzają konkursy na najładniejsze wystawy, obniżają podatki od szyldów, wywieszek i fasad sklepowych, urządzonych i wykonanych ze smakiem. Wysiłki tych ludzi, starających się poprawić wygląd zewnętrzny ulicy, wydają się być jednak niewspółmierne do osiągniętych rezultatów. Pomimo kryzysu przebudowuje się, odnawia, wreszcie projektuje tysiące nowych wystaw sklepowych i szyldów. Cóż łatwiejszego, jak przy takiej okazji, wydając już pieniądze — zrobić coś naprawdę wartościowego?

Szyld, umieszczony nad każdym sklepem, czy lokalem handlowym, pochodzi bezwątpienia od starodawnej wywieszki i jest niestety tylko jej parodją. Chodzi tu oczywiście o szyld brzydki. Wywieszka była używana w dawnych czasach jako znak, czy szyfra danego handlu. Kupiec posługiwał się nią w czasach, gdy nie posiadał witryny lub gdy okno jego zakładu nie dawało pełnych możliwości umieszczenia w niem i pokazania sprzedawanych towarów. Wywieszka, kuta z żelaza, drewniana czy inna, była zawsze uproszczonym sygnałem dla publiczności, sygnałem artystycznie pomyślanym i pięknym.

U dołu: Iluminacja karnawałowa całej ulicy w Buenos Aires.



I dziś istnieją sklepy mieszczące się w podwórzu, nie posiadające własnych wystaw. Sklepy te dają znać o sobie okropnemi blachami zamalowanemi pstrokato, oraz szafkami szklanemi, przyczepionemi do muru, psującemi proporcje architektoniczne frontonu i bramy. Zdarza się, że wspomniane sklepy mówią o sobie także efektami akustycznemi czy świetlnemi.

Nie załatwi tej sprawy, zohydzania ulicy — częściowe poprawienie sytuacji. Jednocześnie nie można odmówić racji bytu tym obskurnym szyldom i reklamom. Są one potrzebne, gdyż kupiec w podwórzu też ma prawo sprzedawać i ogłaszać się. Nie można więc reklam tych usuwać. Za jedyne załatwienie sprawy należy uważać powrót do artystycznej wywieszki, zmodernizowanej oczywiście i przystosowanej do dzisiejszych szablonów. Wtedy zniklyby odrapane blachy zasmarowane jaskrawemi bohomazami, pełne najdziwaczniejszych haseł, zapewnień i informacyj.

Zmiana w tej dziedzinie oczyściłaby przedewszystkiem najważniejsze, bo stare, zabytkowe dzielnice naszych miast, które obecnie stały się siedliskiem drobnego handlu w podwórzach.

A teraz o szyldach, umieszczonych nad sklepami w domach nowszych, przy budowie których architekt zaprojektował już specjalne lokale sklepowe. Szyld, na którym umieszczona jest nazwa sklepu i nazwisko kupca, a nierzadko i rodzaj towaru — ciągnie się nad witryną przeważnie na całej długości frontowego muru należącego do danego sklepu. Szyld ten, a raczej napis jest znowu mylnie pojęty i służy celom reklamowym, zamiast być godłem rozpoznawczem firmy, która ma przecież do dyspozycji o wiele silniejsze możliwości reklamowania się zapomocą okna wystawowego.

Szyld jako reklama, chce być zawsze jak największy, wskutek tego też łączy się on z szyldem sąsiada, który w ten sam sposób traktuje sprawę. Historja powtarza się na przestrzeni całej ulicy. Każdy chce posiadać jak największą „reklamę" swego interesu (która właściwie jest reklamą jego nazwiska), chce być najoryginalniejszym i... ginie w ogólnym chaosie słów, nazwisk, haseł, wypisanych olbrzymiemi literami.

Istnieje jeszcze inny powód, dla którego szyld nie powinien sugerować kupców swem nieistniejącem zresztą znaczeniem. Dla przechodnia ważną jest właściwie tylko wystawa. Jeżeli wystawa i przedmioty na niej wystawione potrafią go zainteresować — wtedy stanie się klientem kupca. Dalej zaś: jeżeli klient z towaru będzie zadowolony powróci do danego magazynu. Sklep odszukać jest dość łatwo, jednak bezwątpienia potrzebny jest dla tegoż sklepu jakiś znak rozpoznawczy. Tym znakiem powinien być szyld odpowiednio ujęty. A wtedy nie będzie odgrywać wcale roli wielkość napisu, jego długość i złocenia, lecz sposób umieszczenia go. Niejednokrotnie wystarczy mała tabliczka, zawieszona obok drzwi wejściowych.

Fronton domu i witryny sklepowe, związane architektonicznie. (Wystawa składu obuwia w Paryżu).



Rytmiczne rozplanowanie wystawy materjałów na suknie kobiece w jednym z magazynów paryskich



Znak rozpoznawczy powinien być skomponowany z całością architektoniczną fasady domu i sklepu i niezależnie od tego czy litery jego mierzyć będą pięć metrów wysokości i biec będą wkoło fasady narożnego domu, czy też wyryte zostaną na małej mosiężnej tabliczce, umieszczonej na kamiennym czy marmurowym frontonie sklepu — stworzą wraz z oknem, drzwiami wejściowemi i ścianą — przemyślaną całość artystyczną, zajmą oko przechodnia i ściągną klienta. Oryginalność, to nie wymiary szyldu i napisu, ale odrębny wygląd całego frontonu sklepu.

Nawskroś nowoczesnym, posiadającym olbrzymią moc przyciągającą, jest napis świetlny. Ludzie ciągną do światła, lubią wieczorami pławić się w jego potokach. W tej słabości człowieka tkwi atawistyczny pęd ku jasności, ucieczka przed mrokiem. Światło sprawia, że ludzie stają się weselsi, bardziej ożywieni. Jaskrawo oświetlone lokale rozrywkowe, okna wystawowe, ulice — gromadzą tłumy przechodniów. Jeżeli więc kupiec pragnie nadać świetlnej reklamie olbrzymie rozmiary i niepokojącą ruchliwość, jest to zupełnie zrozumiałe i słuszne.



Fasada wielkiego, narożnego magazynu przyborów elektrycznych w Paryżu.

Reklama świetlna, operując migocącem światłem i wszystkiemi kolorami — ma olbrzymie możliwości. Neonowe napisy, składające się z przeźroczystej rurki szklanej, prawie niewidocznej w dzień na tle muru — mogą być rozpięte na olbrzymich przestrzeniach, nie kolidując z architekturą kamienicy. W dzień nie widać reklamy — w nocy kamienicy.

Jak ważną jest reklama i wiele się przywiązuje uwagi do jej rozplanowania — niech świadczy fakt, że w Nowym Jorku na niedużym stosunkowo odcinku Broadway'u przy Times Square i w jego najbliższych okolicach znajduje się dwadzieścia tysięcy elektrycznych szyldów o łącznej sile 25 miljonów świec... Niema na całym świecie zjawiska, które możnaby porównać z tą orgją świetlną Nowego Jorku.

Pozostaje wreszcie wystawa sklepowa, która u nas niestety wciąż jeszcze jest przeładowana, chaotycznie urządzona, ozdobiona nieestetycznemi napisami i dekoracjami. Ładne wystawy sklepowe w naszych miastach — stanowią wyjątki. Kupcy wciąż jeszcze nie rozumieją, że roli dekoratora nie można powierzać starszemu subjektowi, który nie przeszedł żadnego przeszkolenia w kierunku urządzania wystaw.

Wystawa, jak o tem wspomniano wyżej, jest najważniejszym atutem reklamowym kupca oraz sklepu i jako taka musi być przemyślana starannie i urządzona ze smakiem. Wiedzą o tem wszyscy, że oryginalne wystawy sklepowe interesują przechodniów i jakie tłumy potrafi zgromadzić umiejętnie podany i ułożony towar w witrynie. Aby wystawa była ciekawa, nie należy zapychać jej od dołu do góry stosem towarów. Tu nie chodzi o pokazanie wiele czego jest na składzie, ale o podkreślenie wartości, jakości, piękna, celowości, użyteczności, czy wreszcie dobroci — danego towaru. Tych zalet nie można zaakcentować ilością.

Znaną jest dewiza: „Ładnie podać — znaczy sprzedać". Znanym jest też fakt, że publiczność woli kupować przedmioty nieznanej jej wprawdzie firmy, ale zato ładnie opakowane — czyli „smacznie" podane.

Najzwyklejsze materjały, ułożone na wystawie odpowiednio i oświetlone — sprawią, iż każdy zatrzyma się, by je obejrzeć. Pospolite owoce owinięte w bibułki, ułożone na paterach i oczyszczone wzbudzą szybciej apetyt, niż ananas wetknięty w stos bezładnie porzuconych pudełek daktyli i winogron.

Często zdarza się, że klient wchodzi do sklepu i żąda czegoś z wystawy. Kupiec posiada to samo w sklepie, a jednak klient upiera się za przedmiotem wystawionym w oknie. Bezwątpienia zachęciła go do tego forma podania towaru.

W okresie zbliżających się świąt i wzmożonego ruchu w handlu — specjalnie ważną powinna być dla kupca właśnie wystawa. Powinien on pamiętać, że od jego starań i włożonego przez artystę-dekoratora kapitału pracy zależeć będzie powodzenie jego interesu i to nietylko w okresie świąt, ale przez cały rok.



Wystawa magazynu konfekcyjnego w Zurychu.

Na prawo: Fronton biura lotniczego „Lot" w Warszawie.

Naogół utrzymuje się konserwatywne przeświadczenie, że „ludzie i tak przyjdą kupować a pieniądze wydane na dekorację i projektodawcę nigdy się nie wrócą". Jak mylnem jest to twierdzenie, dowodzi najlepiej fakt, że zagranicą wielkie magazyny i sklepy wydają rok rocznie fantastyczne wprost sumy na dekoracje okien, reklamę i świąteczną szatę sklepu w okresie Bożego Narodzenia. — Paryskie magazyny, do których należą niejednokrotnie długie szeregi domów po obu stronach ulicy zdobią je dekoracją i reklamą świetlną. Kamienice na wysokość wielu pięter zostają pokryte poruszającemi się obrazami świetlnemi. Po obu stronach ulicy, zamiast latarń, pojawiają się któregoś dnia — rzędy przestylizowanych choinek, rzęsiście oświetlonych.

Miasta zagraniczne współdziałają w tych wysiłkach poszczególnych firm — stworzenia atmosfery niecodziennej i wyciągnięcia przechodnia na ulicę. Niezależnie od dekoracji świetlnej osób czy firm prywatnych dekorują one ulice i place. W tej atmosferze przepychu i światła niema miejsca dla opornych. Wszyscy muszą poddać się ogólnemu pędowi ku światłu i zaakcentowaniu odrębności w tej odświętnej powodzi pomysłów, barw i kształtów.



Okno wystawowe polskiego sklepu z cukrami w Paryżu.

Przy wzmożonej konkurencji w handlu, w okresie przedświątecznym walka musi odbywać się nietylko na ceny i jakość towarów, ale także w celu przyciągnięcia i zainteresowania temi cenami i towarem przechodnia. Właściciele sklepów powinni sobie zdawać sprawę, że świat idzie naprzód, że ustawicznie robi się rzeczy nowe i że inni pracują. Ci, którzy pozostają wtyle, zgadzają się dobrowolnie na opuszczenie pozycji w walce o byt. Nie trzeba zapominać, że walka prowadzona argumentami artystycznemi może dać i da o wiele lepsze rezultaty, niż każda inna. **j.**



ŚWIAT W KRZYWEM ZWIERCIEDLE

Pozwolę sobie przedstawić tu Państwu syn...tetryczny przegląd międzynarodowej sytuacji politycznej, widziany od jej potylicy. Zadanie moje jest dosyć ciężkie, żyjemy bowiem w olbrzymim labiryncie zdarzeń — w którym każdy lahidzi w niebogłosy, zamieniając przez to kochane mieszkanko ludzkości w jakieś olbrzymie rykowisko. Trudno przeto zorjentować się kto, gdzie, kiedy i z kim — wiele razy na tydzień i co z tego wynikło. Ale spróbuję. Otóż przedewszystkiem proszę Państwa — mojem skromnem zdaniem, kula ziemska cierpi dzisiaj na dwie brzydkie choroby: prochowe wapory i międzynarodową czerwonkę. Okazało się — że ziemia nie bez powodu ma kształt kulisty. Symbolizuje nim najważniejszy produkt swego przemysłu — kule, przeznaczone do przenoszenia robaczków ludzkich w krainy, ach jakże wietrznej szczęśliwości! Te kule — to taki Zacherlin matki-Ziemi przeciw ludzkim pchełkom, które zanadto łechcą ją w różnych... niepolitycznych miejscach. Przedziwnym zrządzeniem losu — robaczki kochane same na siebie wytwarzają trutkę i w ten sposób utrzymana jest równowaga pomiędzy podażą a popytem na życiowym rynku ludzkości. Co to jest ludzkość? — To taka kość niezgody pomiędzy ludźmi o prawo do bytu i bicia. Wszyscy trzymają na niej zęby, każdy chciałby wyrwać z niej lwią część dla swego wilczego apetytu, a podczas tej operacji wymrukują dziko wielkie maksymy o pokoju i miłości bliźniego. A już najgorsze — to te nielegalne związki i to wbrew woli współpartnerów małżeństwa, a co gorsza, wstyd powiedzieć, wbrew naturze. Państwo zapewne słyszeli o małżeństwie Rosenberg. On siedzi sobie w Berlinie i w sposób nieprzystojny zniesławia swą małżonkę — „ona" również płci męskiej, o zgrozo, płacze krwawymi łzami w... Barcelonie, tuląc w antraktach wrażeń swego hiszpańskiego Caballera — „tego trzeciego", również płci jednakiej. Rzadko można spotkać taki trójkąt małżeński, który zawierał w sobie tyle grzechów contra naturam. A o co im poszło? O to, że jedno poszło na lewo — drugie zaś na prawo, taka drobnostka, a już von Rosenberg krzyczy w stronę Hiszpanji: „won, Rosenberg!" i zaraz robi się z tego afera na miarę europejską. Z tego wynik niezbity — że dzisiaj wogóle jakiekolwiek chodzenie jest niebezpieczne. Niewiadomo biedny człowieku, czy strona — w którą się zwrócisz, nie będzie zbyt stronniczą w ocenie twych dobrych chęci — więc najlepiej stać w miejscu i wykonywać jak najmniej ruchów i ruchawek. Idealnym wzorem tej metody jest np. u nas... motoryzacja — tam stoi wszystko jak mur i wcale się naprzód nie posuwa. Auta stoją w garażach, drogi w błocie, błoto w dołach, doły są mile widziane „w górze", która z rzewną radością spogląda na ten wielki padół płaczu kierowców i właścicieli aut — i tak wszystko idealnie uzupełnia się w kompletnej inercji, jednem słowem znosi się nawet w tak nieznośnej sytuacji całkowicie. Czy jest drugi kraj o podobnej równowadze, że tak powiem społeczno-administracyjnej? Niema — odpowiecie i... będziecie mieli najzupełniejszą słuszność.

Ale wróćmy na teren międzynarodowy. Tam jakoś czuję się...niebezpieczniej, a tem samem bardziej swojsko. Wojsko i swojsko — chciałem powiedzieć. Otóż — jeśli chodzi o wojsko — to ono jedno we wszystkich krajach objawia nadzwyczajną ruchliwość, co eo ipso zmusza nas do wielkiej czujności. Jesteśmy otoczeni przez narody pacyfistyczne, które z tej, zdaje się, przyczyny tak się nazywają — że radeby zamknąć wszystkich swych sąsiadów w pace, by potem tem łatwiej wpakować się na ich miejsce. Stąd jak się zdaje, wszystkie układy międzynarodowe mające przecież w ostateczności na celu utrzymanie pokoju, nazywają się paktami i pakują zwykle kontrahentów w paskudne skutki. Coute que coute — musimy się bronić, więc też jeździmy od czasu do czasu tu i tam, by przygotować sobie na wszelki wypadek przyjaciół. I tak niedawno rozległ się po jednej z podróży naszego ministra spraw zagranicznych do Anglji niemiecki b e k z Berlina, że Baldwin na jednem z bankietów mówił przez dwadzieścia minut o Polsce — a tylko sześć zdań o Trzeciej Rzeszy. Szkoda, że nie wypowiedział tylko trzech, przypuszczam — iż w myśl znanego przysłowia niemieckiego: „aller guten Dinge sind drei", byliby Niemcy wtedy zupełnie zadowoleni. Nigdy to nie wiadomo, jak komu dogodzić. Zresztą słowo to— jak ów przysłowiowy kij — ma dwa końce. Wiele razy powiem komuś o kimś drugim: „A tom mu dogodził!" — otrzymuję stale odpowiedź: „A coś mu złego zrobił?".

Pod koniec tego burzliwego roku przeżyliśmy nową sensację międzynarodowego meczu politycznego, rozgrywanego w permanencji na genewskiej arenie. Oto Niemcy strzeliły niespodzianie, przyznaną im wyrokiem losu, nową lo-carną bramkę Wersalskiemu Traktatowi, wypowiadając klauzulę o umiędzynarodowieniu wielkich rzek niemieckich. Ten zręczny gol na genewskiem boisku, które dlatego snadnie tak nazwać można — ponieważ biorący udział w „wielkiej grze" panicznie boją się jeden drugiego — ten zręczny gol ogolił nawet najbardziej optymistycznych dyplomatów z jakichkolwiek złudzeń. Eden z drugim powystraszali się nie na żarty, widząc, jak niemieccy piłkarze podpiłowywują swą olbrzymią piłą podstawy wersalskiej umowy, a „państwa lewicowe" obleciał blady strach. Wogóle — wszyscy, którzy na wielkiej rulecie świata stawiają na czerwone — boją się panicznie niemieckiego partnera, szczerzącego do nich uśmiech, ugarnirowany miljonem zębów-bagnetów. Narazie partner ten rżnie cudzemi siłami gratis i Franco swych politycznych przeciwników — robiąc z nich na Półwyspie Pirenejskim iście prawdziwe purré. Pomaga mu przy tej czynności piękna I-dalia, pierworodna córka sławnej niegdyś Romy — władczyni świata w dwunastu serjach stuleci i niezliczonej ilości aktów. Wprawdzie ostatnio w tem młóceniu czerwonej sieczki nastał pewien zastój — miejmy jednak nadzieję, że normalny stan kontynentu europejskiego zostanie tam rychło przywrócony i... walka rozpocznie się nanowo. Świat nasz eu-ropieje coraz bardziej — toteż gorączkowo poszukuje się jakiegoś zbawiennego plastra, któryby wyleczył wreszcie słabującą ziemię. Z początku myślano — że zbawienie leży w plastrze angielskim — niestety jednak, przyłożony do Morza Śródziemnego i Abisynji, rozjątrzył jeszcze bardziej tę część jednej z ziemskich półkul. Zaczęto więc poszukiwać innego lekarstwa i spróbowano w Hiszpanji radykalnego proszku wybuchowego. Wpycha się go tam całemi masami w usta biednej Europy i czeka się rezultatu, by przeciwnik z cicha pękł. Oby tylko nie pękł zbyt głośno i nie odbił się echem w innych częściach naszego kontynentu! Obecnie już można zaobserwować lekkie wzdęcie brzuszka europejskiego w okolicy jego ślepej kiszki — Czechosłowacji — ślepej i głuchej na wszelkie przestrogi swych sąsiadów. Ledwo połknęła pestkę sowieckiej misji wojskowej — a już bezpośrednio potem potworzyły się w jej ciele nowotwory rosyjskich baz lotniczych i objęły swemi mackami cały organizm. Przypuszczają powszechnie — że nawet próbne prześwietlenie tego organizmu sławnemi promieniami... śmierci nie uratuje go przed katastrofą — chyba, że chory zgodzi się na operację wycięcia wyrostka słowaczkowego. Jak dotąd — pacjent przyszły nie rozumie swego własnego interesu i pragnie zapalny wyrostek zatrzymać w swym brzuszku. Łyka sobie narazie sodę francuską i popija ją rumuńską naftą, naftalinując zużyty organizm na wszelkie możliwe strony — obawiam się jednak, że nie zdoła przeciwdziałać skutecznie postępującej chorobie i wkońcu znajdzie również swego Mola, który go zgryzie.

Ostatnio jest bardzo aktualną przysłowiowa przyjaźń polsko-węgierska w myśl stare go przysłowia: „Polak-Węgier dwa bratanki, i do **tanka** i do szklanki". Mówimy do do Węgrów: „Ty nam swój **czar dasz** — a Polska dla Ciebie **ma żur** polski". W ten sposób w myśl powyższego przysłowia realizujemy taki węgiersko-polski masłosojusz. Z Litwą natomiast jest całkiem inaczej. Dawny naród bratni stał się dla nas narodem batnim, kręcąc na nas bacik z piasku, którym nam jednak, miejmy nadzieję, Litwa oczu nie zasypie. Ciągle zwracamy się z dobrą wolą do tego kraiku, mówiąc po staropolsku: „Zali-Twa uporczywość w sprawie wileńskiej nie ustąpi wkońcu miejsca dawnej amicycji?" — A Litwa odpowiada nam stale kamieniem obrazu Wilna, okupowanego, jak twierdzi, przez naszą Rzeczpospolitą i zakuwa w swym państwie wszelkie odruchy sympatji ku naszemu krajowi w Kiejdany. Nic dziwnego — jak długo tym małym kraikiem będą rządzili sami kowniarze, porozumienie będzie stało pod wielkim znakiem zapytania.

Powrócę jeszcze raz do Genewy, gdzie narody świata usiłują wynaleźć jakieś znośne modus vivendi dla biednej Europki. Obawiam się, żeby z tego poszukiwania nie wynikł przypadkiem modus wywędrowania całej Ligi — gdzie pieprz rośnie. Już od dawna kraj — który udzielił gościny Lidze, śledząc z trwogą wzrastające w tej instytucji wpływy sowieckie — powtarza coraz częściej: „Boże, Szwajcarja chrani!" — dając tem wymowny dowód swego instynktu samozachowawczego. Przysłowiowa gościnność kraju tego ma też swoje granice. Albo ta konferencja rozbrojeniowa. Dwoi się i troi, aby rozbroić uzbrojone po zęby narody — a tymczasem narody pokazują sobie wzajemnie zęby i dają dwóję swym dyplomatom ze źle spełnionego na forum genewskiem zadania. Nic w tem dziwnego. Si vis pacem — para bellum, co się tłumaczy: „jeśli chcesz kogoś wpakować — przygotuj najpierw... parabellum!". Póki ta zasada istnieje i ma swą wagę — nikt z rozumnych nie waży się na zasadzenie drzewka pokoju w mulistej glebie naszego kontynentu.

Jeśli chodzi o Hiszpanję — to tam powoli postępuje faszynizacja kraju, czyli wszyscy strzelają do siebie z poza faszyn i barykad, ustawionych na ulicach miast. Z pewną jednak różnicą, jeśli chodzi o dwa walczące ze sobą obozy. Gdy narodowcy strzelają celnie i skutecznie — milicja strzela ciągle byki, co jej tem łatwiej przychodzi, że jest to kraj o prastarej w tym kierunku tradycji ludowej.

Przerzućmy się teraz na odmianę na Daleki Wschód. Tam rej wodzi Japonja, wodząc Azję za nos obietnicą raju na ziemi pod

(ciąg dalszy na str. 31).

ARMJA BIAŁYCH ŻOŁNIERZYKÓW...
Zdjęcie z rewji filmowej. *Fot. Polonsky, Hollywood.*

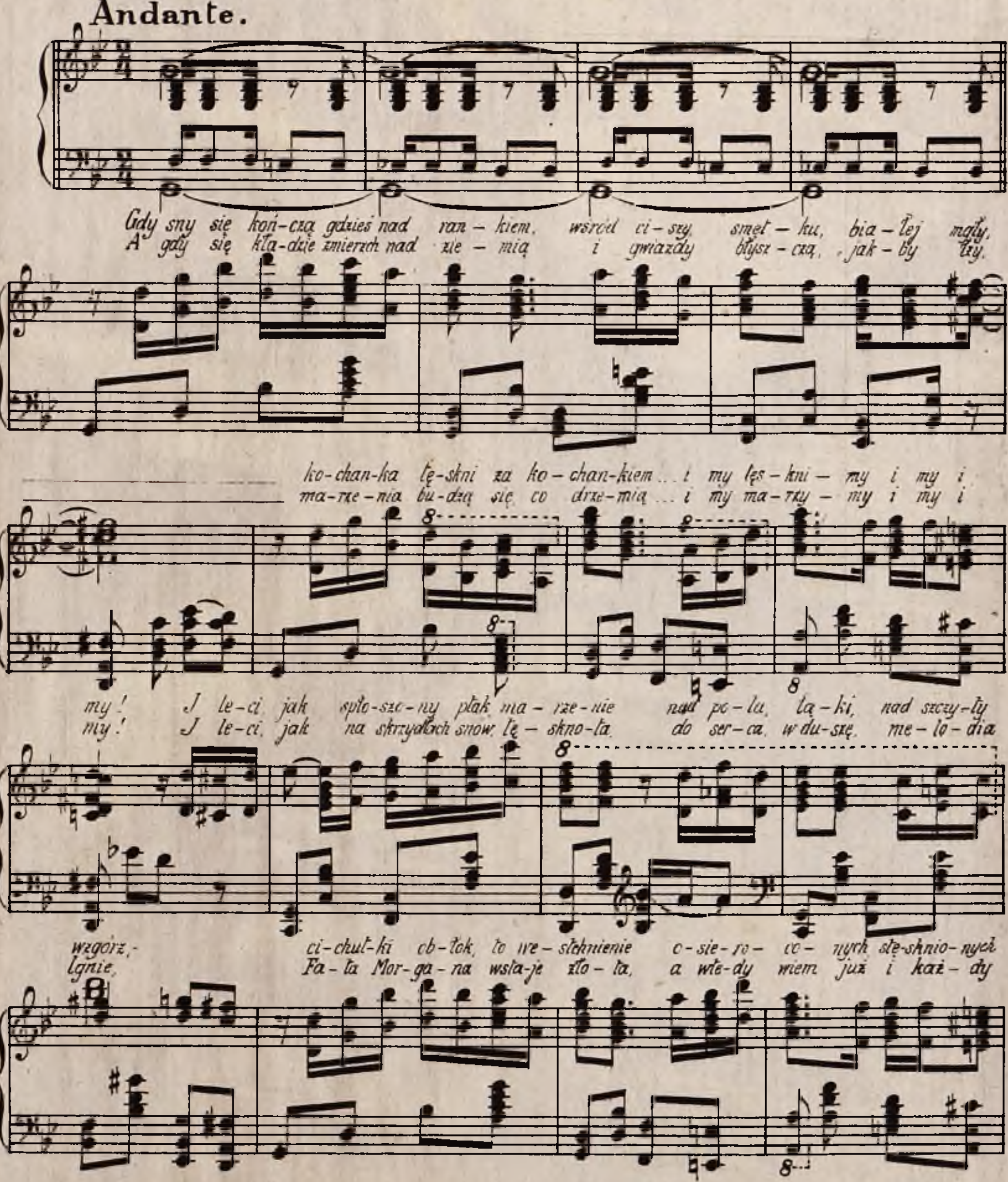


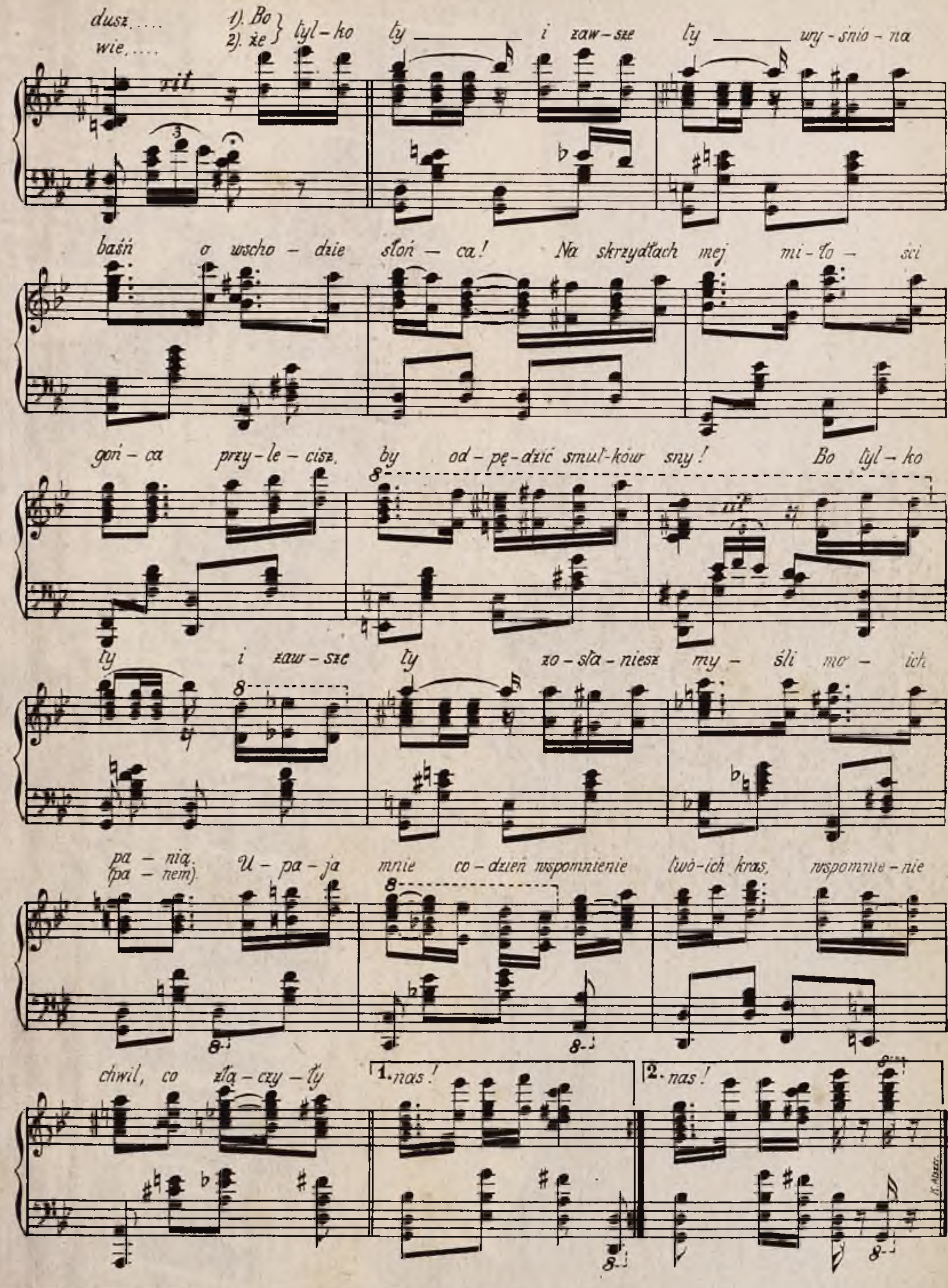
ZAWSZE TY...

TANGO

Słowa: ANATOL KRAKOWIECKI

Muzyka: JULJUSZ LEO







DRAMAT ★ W ★ FONTAINEBLEAU

W. COLLINS — NOWELA

PRZEKŁAD W. DE RICHE

Postać Gustawa Adolfa, prawowitego protestanta, wielkiego wodza i króla, dobrze znana jest od dawna miłośnikom historji. Ale córka jego królowa Krystyna była osobistością wybitną i ciekawą.

Życie tej kobiety jest samo w sobie romansem. Licząc lat sześć, została królową Szwecji, a opiekunem jej był sławny kanclerz hr. Oxenstierna.

W cztery lata po koronacji abdykowała z własnej woli na rzecz swego kuzyna, Karola Gustawa. Piękna i młoda, jedna z najbardziej wykształconych i utalentowanych kobiet swego czasu wyrzekła się śmiało tronu przodków i nie tając wstrętu do otaczającego królów blichtru i pompy, wybrała się na wędrówkę po cywilizowanej Europie, w charakterze niezależnej turystki. Jest coś uderzającego i nowego w tej młodej królowej, która przedkłada wiedzę ponad tron i która wyrzeka się królewskich praw dla wolności. Na nieszczęście, portretu Krystyny niepodobna malować tylko jasnemi barwami. Niezbyt dobrze świadczy o niej, że po przybyciu do Rzymu wyrzekła się religji, dla której walczyli i ginęli jej ojcowie. Jeszcze gorzej, że nie krępowała się żadnemi względami. Zbrodnie jej i grzechy świadczą o braku wszelkiej moralności.

Przypomnijmy jeden ciekawy epizod jej życia. Sceną jest Paryż w roku tysięcznym sześćsetnym pięćdziesiątym siódmym, osobami: Królowa Krystyna, jej wielki koniuszy. Markiz Monaldeschi i ojciec le Bell, z klasztoru w Fontainebleau, świadek naoczny opisanego wydarzenia.

Monaldeschi był z pochodzenia Włochem. Piękny, utalentowany mężczyzna, o wyszukanych manierach, umiał się nagiąć do okoliczności i posiadał w wysokim stopniu sztukę podobania się kobietom. Te osobiste jego zalety utorowały mu wkrótce drogę do łask królowej Krystyny. Z długiej listy kochanków, żaden nie umiał przykuć do siebie kapryśnej władczyni na tak długi okres czasu, jak Monaldeschi. Łącząca ich zażyłość zmieniła się prawdopodobnie, przynajmniej z jej strony, w głębokie i szczere uczucie. Co do Włocha, kierowała nim tylko ambicja. Skoro tylko znaczenie jego wzrosło, wykorzystywał pod każdym względem stanowisko faworyta na dworze królowej. Królewska kochanka zaczęła go nużyć. Po pewnym czasie zajął się młodą Rzymianką, której uroda i młodość oczarowały go i której fatalny wpływ stał się powodem jego upadku i śmierci. Ponieważ wszelkie sposoby pozyskania względów Rzymianki nie doprowadziły do zadawalniającego rezultatu, Monadelschi przyszedł do przekonania, że najpewniejszym środkiem zdobycia jej miłości będzie zadowolenie jej złośliwej ciekawości przez wtajemniczenie pani swego serca w szczegóły prywatnego życia królowej Krystyny. Nadużył bezwstydnie zaufania, jakiem darzyła go królowa Krystyna i zdradził ją w sposób niegodny, wręczając Rzymiance szereg listów, pisanych do niego przez królowę. Co więcej, napisał sam do swej nowej bogdanki kilka listów, w których wyśmiewał zakochaną w nim królowę i omawiał złośliwie jej drobne wady osobiste.

Przez pewien czas nikt nie podejrzewał niegodnego oszusta. Ale wybiła godzina zdemaskowania, a narzędziem, które go dokonało, był pewien kardynał, pragnący zastąpić Monadelschiego w łaskach królowej. Księdzu temu udało się dostać w swe ręce całą korespondencję, powierzoną w tajemnicy rzymskiej damie, to jest obok listów Krystyny i listy, napisane przez Monaldeschiego, celem jej ośmieszenia. Wszystkie te dokumenty, złączone w jeden pakiet, przedłożył kardynał królowej na prywatnej audjencji.

W tym krytycznym punkcie historji rozpoczyna się sprawozdanie wspomnianego wyżej naocznego świadka. Le Bel był obecnym przy straszliwej egzekucji Monaldeschiego, której dokonano z rozkazu żądnej zemsty królowej i posiadał odpisy wszystkich listów, odebranych Rzymiance. Będąc panem tajemnicy, nie wspomina roztropnie w ciągu swego opowiadania o istocie obrazy Monaldeschiego, jak na człowieka prawego przystało. Szczegóły, świadczące o przewrotności i niewdzięczności Włocha, o których wspomnieliśmy wyżej, oparte są na niezbyt zgodnych opisach, pochodzących z owych czasów, a zachowanych przez dawnych francuskich zbieraczy anegdot historycznych. Dalsze szczegóły, odnoszące się do niezwykłego ukarania przewrotnego Monaldeschiego, przedstawimy jednak słowami samego ojca Le Bel. Opowiadanie jego zaczyna się bezpośrednie po przekonaniu się Krystyny o przewrotności jej faworyta.

„Szóstego listopada, tysięcznego sześćsetnego pięćdziesiątego siódmego roku (pisze ojciec Le Bel), o kwadrans na dziesiątą rano, zjawił się w moim klasztorze jeden ze sług zamieszkałej naówczas w królewskim pałacu w Fontainebleau królowej szwedzkiej Krystyny. Przyprowadzony do mnie, zapytał, czy jestem najstarszym zakonnikiem w klasztorze, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, zawiadomił mnie, że królowa Szwecji prosi mnie natychmiast do siebie.

Wprowadzono mnie do komnaty królowej. Była sama; widziałem, z wyrazu jej twarzy, kiedy z pokorą zapytałem o rozkazy, że coś jest nie w porządku. Wahała się przez chwilę; potem, jakby zdecydowana, powiedziała, abym poszedł za nią tam, gdzie będziemy mogli rozmawiać swobodnie. Zaprowadziła mnie do Galerji Jeleni i odwróciwszy się nagle, zapytała, czy spotkaliśmy się już przedtem. Odpowiedziałem Jej Królewskiej Mości, że miałem zaszczyt być jej przedstawiony i że przyjęła mnie łaskawie. Prosiła mnie, abym jej przyrzekł, że tajemnicy, jaką mi powierzy, strzegł będę, jakbym usłyszał ją na spowiedzi.

Potem Jej Królowa Mość wręczyła mi pakiet, zaopatrzony w trzy pieczęcie, ale bez żadnego napisu. Poleciła, abym go trzymał w zamknięciu i abym był przygotowany zwrócić jej pakiet w obecności każdej osoby, jeśli tego odemnie zażąda. Poleciła dalej, abym zapamiętał dzień, godzinę i miejsce, w którem wręczyła mi pakiet i po tych słowach kazała mi odejść.

W sobotę, dziewiątego listopada, o pierwszej w południe wezwano mnie znowu do Fontainebleau. Wziąłem z sobą pakiet, czując, że mnie o niego zapytają i poszedłem za służącym, jak poprzednio. Tym razem zaprowadził mnie wprost do Galerji Jeleni. Ujrzałem Jej Królewską Mość, stojącą na środku galerji, rozmawiającą z jednym z dworzan, znanym powszechnie po nazwiskiem Markiza, a którym był, jak się później dowiedziałem, Markiz Monaldeschi Wielki Koniuszy Królowej Szwecji.

Z ponurem wejrzeniem, ale głosem donośnym, czystym i pewnym, zapytała mnie w obecności Markiza i trzech innych mężczyzn ,którzy znajdowali się również w galerji. czy mam przy sobie pakiet, powierzony mej pieczy. W tej chwili dwóch z pomię-

dzy trzech mężczyzn cofnęło się kilka kroków w tył, podczas gdy trzeci, kapitan gwardji, stanął tuż przy niej. Wręczyłem jej pakiet. Przyglądała mu się czas pewien, zadumana, potem otworzyła go i wyjąwszy listy i papiery, które się w nim znajdowały, podała je markizowi Monaldeschi, wzywając go do ich odczytania. Kiedy spełnił rozkaz, zapytała go z tem samem ponurem wejrzeniem i tym samym stanowczym głosem, czy zna listy, które właśnie przeczytał. Markiz zbladł śmiertelnie i odpowiedział, że listy te czytał po raz pierwszy.

— Zaprzeczasz, jakobyś je znał? — zapytała Królowa. — Powiedz otwarcie! Tak, czy nie?

Markiz zbladł jeszcze bardziej. — Nie znam ich — rzekł głosem niepewnym, spuszczając oczy.

— A tych również nie znasz? — zapytała królowa, wyjmując z poza sukni drugi pakiet listów i rzucając go w twarz markiza.

Drgnął, cofnął się w tył, ale nie wyrzekł słowa. Pakiet, powierzony mi przez królowę, zawierał tylko odpisy. Oryginalnemi były listy, które rzuciła w twarz Markiza.

— Przeczytasz? A więc to nie twoja pieczęć i nie twoje pismo? — zapytała.

Wyjąkał kilka słów, potwierdzając autentyczność pieczęci i pisma i dodał kilka zdań usprawiedliwienia, w których starał się zrzucić winę napisania listów na inne osoby. Podczas gdy mówił, trzej towarzyszący królowej mężczyźni otoczyli go kołem.

Jej Królewska Mość wysłuchała go.

— Jesteś zdrajcą — rzekła wkońcu i odwróciła się.

Trzej mężczyźni dobyli mieczy.

zwracając się do mnie — i żadna siła pod słońcem nie zmusi mnie do jego cofnięcia. Niejeden człowiek był łamany kołem za przestępstwa, które były drobnostką w porównaniu z przestępstwem tego podłego zdrajcy. Ufałam mu, jak bratu; niegodnie nadużył mego zaufania. Jako królowa mam prawo rozporządzać życiem zdrajcy.

Po tych słowach opuściła galerję i pozostawiła mnie samego z Monaldeschim i trzema zbirami którzy mieli go zabić.

Nieszczęsny padł przede mną na kolana i błagał, abym poszedł za królową i starał się uzyskać od niej przebaczenie. Zanim zdołałem rzec choćby słowo, trzech zbirów otoczyło i zbliżyło ostrza mieczów do jego boków, nie dotykając go jednak, a potem wezwało go, aby nie tracąc czasu, wyspowiadał się przede mną.

— Idź do królowej! — woła Markiz, klękając przede mną ze złożonemi rękoma. Ojcze, mój ojcze, wstaw się za mną i nie opuszczaj mnie!

— Czy zaczekacie, dopóki nie wrócę? — zapytałem trzech mężczyzn.

— Zaczekamy — odpowiedzieli i opuścili ostrza mieczów ku ziemi.

Zastałem królowę samą w jej pokoju, bez cienia wzruszenia na twarzy. Słowa moje nie odniosły najmniejszego rezultatu. Widząc, że prośby moje nie odnoszą skutku, odważyłem się na przypomnienie jej, że przebywa nie we własnem królestwie, lecz że jest gościem króla Francji i mieszka w jednym z jego pałaców. Zapytałem śmiało, czy zastanowiła się nad następstwami zabicia jednego z swoich poddanych w murach Fontainebleau bez sądu i bez ogłoszenia popełnionego przez

czem w prawy bok. Monaldeschi chwycił ręką za klingę, obcinając sobie przytem trzy palce... W tejże samej chwili ostrze dotknęło jego boku i zwinęło się. Człowiek, który zadał cios, wykrzyknął. — Ma zbroję pod suknią — i ugodził Monaldeschiego w twarz. Otrzymawszy ranę, Markiz zwrócił się ku mnie i zawołał głośno: „Mój ojcze! — Mój ojcze!"

Podszedłem do niego natychmiast, a widząc to, człowiek, który go zranił, cofnął się i dał znak swoim dwom towarzyszom aby odstąpili. Markiz klęczący na ziemi, prosił Boga o przebaczenie i szepnął mi jeszcze kilka słów do ucha. Dałem mu natychmiast rozgrzeszenie, mówiąc, że śmierć będzie pokutą za jego grzechy. Słysząc te słowa, rzucił się na ziemię, a kiedy padał, jeden z siepaczów ugodził go i zranił w szczyt głowy.

Markiz upadł na twarz; potem wsparł się na rękach i dał do poznania, że pragnie, aby go zabili ciosem w szyję. Człowiek, który go zranił przed chwilą, usłuchał i ciął go dwa czy trzy razy w kark, nie wyrządzając mu jednak zbytniej krzywdy. Markiz miał bowiem pod suknią koszulkę stalową, ważącą dziewięć lub dziesięć funtów i zachodzącą na szyję aż pod kołnierz.

Widząc to podszedłem do Markiza i błagałem go, aby zniósł cierpienia z poddaniem się, jako pokutę za grzechy. W tej chwili zbliżył się do mnie przywódca zbirów i zapytał czy nie uważam, że trzeba już skończyć z Monadelschim. Odepchnąłem go z oburzeniem, mówiąc, że gdyby to odemnie zależało, ocaliłbym Markiza od śmierci.

Markiz, który usłyszał chrzęst broni, spojrzał za siebie i zobaczył obnażone miecze. Chwycił królowę za ramię i pociągnął ją za sobą najpierw w jeden kąt galerji, potem w drugi, wzywając ją wymownemi słowami, aby go wysłuchała i uwierzyła w jego głęboki żal. Królowa pozwalała mu mówić, nie okazując ani gniewu, ani zniecierpliwienia. Twarz jej pozostała niezmienioną.

Wkońcu oswobodziła ręce z jego uścisku. Trzej mężczyźni z dobytemi mieczami, którzy chodzili krok w krok za Markizem i królową z jednego kąta galerji w drugi, oto czyli go znowu w milczeniu.

— Ojcze! — rzekła. — Biorę cię za świadka, że odnoszę się do tego człowieka bez najmniejszego uprzedzenia. — I wskazała na markiza Monaldeschi szpicrutą, którą trzymała w ręku. — Dałam temu niegodnemu zdrajcy więcej czasu na obronę, niżby mu się z prawa należało. — Markiz, słysząc te słowa, wydobył z zanadrza kilka listów i wręczył je królowej z małym pękiem kluczy. Wydobył te ostatnie z kieszeni tak szybko, że wyrzucił na podłogę kilka monet. Kiedy zwrócił się znowu do królowej, dała znak szpicrutą mężczyznom z dobytemi mieczami. Odstąpili pod okna galerji, a i ja również odszedłem na bok. Rozmowa królowej z Markizem trwała blisko godzinę. Kiedy się skończyła, Jej Królewska Mość dała znów znak szpicrutą i podeszła do mnie.

— Ojcze! — rzekła głosem dźwięcznym, czystym i pewnym.

— Nie mam powodu pozostawać tu dłużej. Powierzam ci tego człowieka — i wskazała znów na Markiza. Uczyń wszystko, co możesz dla zbawienia jego duszy.

Markiz rzucił się jej do nóg. Upadłem obok niego na kolana i błagałem, aby mu przebaczyła, albo przynajmniej ukarała go łagodniej.

— Wydałam wyrok — odpowiedziała,

niego przestępstwa? Odpowiedziała mi zimno, że wystarcza jej przekonanie o winie Monaldeschiego, że jest od króla Francji zupełnie niezależną.

Chociaż lękałem się, aby jej nie rozgniewać, ośmieliłem się jednak na kilka słów perswazji. Przerwała mi, dając znak, abym wyszedł.

Wróciwszy do galerji, znalazłem trzech mężczyzn, stojących dokoła Markiza, z mieczami opartemi o posadzkę, tak, jak ich zostawiłem.

— Ma żyć, czy też umrzeć? — zapytali, kiedy wszedłem. Twarz moja odpowiedziała sama na to zapytanie. Markiz jęknął głucho, ale nie rzekł słowa... Usiadłem na stołku i dałem znak, aby się zbliżył, błagając, aby pomyślał o skrusze i przygotował się na śmierć. Zaczął się spowiadać na klęczkach, z głową wspartą na moich kolanach. Po chwili zerwał się na nogi z okrzykiem przestrachu. Starałem się uspokoić go i skierować jego myśli ku niebu. Skończył spowiedź, mówiąc to po włosku, to po francusku.

Właśnie kiedy skończył, wszedł do galerji kapelan królowej. Nie czekając na rozgrzeszenie nieszczęsny Markiz podbiegł do kapelana i czepiając się rozpaczliwie nadziei życia, błagał go, aby się wstawił za nim do królowej. Obaj rozmawiali z sobą po cichu, trzymając się za ręce. Po krótkiej naradzie, kapelan opuścił znów galerję, zabierając ze sobą dowódcę trzech wykonawców wyroku śmierci, wydanego przez królowę. Po krótkiej nieobecności człowiek ten wrócił bez kapelana.

— Proś o rozgrzeszenie — rzekł krótko do Markiza — i gotuj się na śmierć!

Po tych słowach chwycił Monadelschiego, przycisnął go do ściany w końcu galerji tuż pod obrazem i zanim mogłem się spostrzec, a chociażby odwrócić, pchnął Markiza mie-

W tej chwili otworzyły się drzwi galerji. Nieszczęsny Markiz wsparł się na rękach i widząc, że osobą, która weszła, był kapelan królowej, przyczołgał się do jego nóg, czepiając się zawieszonych na ścianach dywanów. Tu, szepnął kilka słów (jakby się spowiadał) do kapelana, który, zapytawszy mnie o pozwolenie, dał mu rozgrzeszenie i powrócił do królowej.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, zbir, który ciął Markiza w szyję, przebił mu teraz długim mieczem gardło tuż ponad brzegiem, osłaniającej go koszulki stalowej. Monaldeschi upadł na prawy bok i nie wymówił już żadnego słowa. Oddychał jednak jeszcze przez kwadrans, a ja modliłem się obok niego. Kiedy rana przestała krwawić, uleciało i życie. Było to o trzy kwadranse na czwartą.

Odmówiłem De Profundis nad jego ciałem. W czasie mojej modlitwy, trzech zbirów włożyło miecze do pochew, a wódz ich przeszukał kieszenie Markiza. Nie znalazł w nich nic, oprócz książki do modlenia i małego noża.

W kilka minut później oddaliłem się i ja, aby opowiedzieć o wszystkiem królowej. Zdaje mi się, że zbladła, skoro doniosłem jej o śmierci Monaldeschiego, ale jej zimne, wyraziste oczy nie złagodniały. Mówiła mało, ograniczając się do powiedzenia: „Umarł, gdyż zasłużył na śmierć". Potem, zwracając się do mnie, dodała: „Ojcze, zajmij się jego pogrzebem".

Kazałem ciało włożyć do trumny i przewieść je na cmentarz. W poniedziałek, dwunastego listopada, o kwadrans na szóstą wieczór złożono Markiza do grobu w kościele parafjalnym w Avon, w pobliżu kropielnicy z wodą święconą. Królowa przysłała nazajutrz sto liwrów na msze za spokoj jego duszy".

(Dokończenie w następnym numerze).



Mira Grelichowska.

Pani Mira zapomina o smutkach i jej twarzyczka rozpromienia się...

— Jestem naturalnie w kontakcie z Polonją amerykańską, która, co mi szalenie dodało odwagi, projekt mego przyjazdu przyjęła z ogromnem zainteresowaniem i radością. Przyszli mi też z dużą pomocą w zorganizowaniu koncertów. Fotosy, programy już wysłane, nawet ustalone daty pierwszych wieczorów. Również i w konsulacie amerykańskim w Warszawie znalazłam wielkie poparcie przy załatwianiu formalności, związanych z wyjazdem.

— A jaki repertuar przygotowała pani?

— Bardzo urozmaicony. Mam duży wybór piosenek i wierszy regjonalnych, które wykonuję w odpowiednich kostjumach. Następnie poezja współczesna, dużo rzeczy robię z muzyką, coś w rodzaju deklamacji, połączonej ze śpiewem. Mam też w planie wieczór humoru; materjał do niego zaczerpnęłam ze skarbca polskiej poezji niemal od jej zaczątków. Poza tem przygotowałam sobie kilka wierszy angielskich, przeważnie tłumaczeń naszych poetów, specjalnie dla tamtejszej młodzieży. Dużo bowiem tych najmłodszych rodaków, urodzonych w Ameryce, nie rozumie swego ojczystego języka. Chciałabym zatem, żeby bodaj w ten sposób poznali poezję swej dalekiej, nieznanej im ojczyzny. — Mam jednakże nadzieję, że znajdę w Ameryce i dzieci, mówiące po polsku, dla tych wiozę moc cudownych bajek i wesołych wierszyków.

— Czeka mnie duża i odpowiedzialna praca — kończy pani Mira. Czy się powiedzie? Chyba tak! Wierzę w Polonję amerykańską, tak chętnie garnącą się do rodaków, którzy jej niosą z Ojczyzny żywe, polskie słowo.

Zofja Ordyńska.

ARTYSTKI NA CENZUROWANEM

Mira Grelichowska

Kto miał sposobność podziwiać na estradzie Mirę Grelichowską, znakomitą recytatorkę, zwłaszcza w repertuarze dla dzieci, w którym jej dziewczęcy urok znajduje szerokie pole do popisu — kto ją zna z życia towarzyskiego jako prostą, skromną i ujmującą, ten nie posądziłby nigdy tej młodej, wdzięcznej osóbki, że poza walorami artystycznemi posiada taki rozmach życiowy i tyle inwencji. Postanowiła bowiem wyjechać do Ameryki, by tam wśród Polonji amerykańskiej nieść polskie słowo w jego najpiękniejszej formie.

Już w styczniu rozpoczyna pani Mira Grelichowska cykl wieczorów recytacyjnych w Nowym Jorku, Chicago, Buffalo, Filadelfji, Detroit, jednem słowem we wszystkich większych miejscowościach, skupiających życie Polaków za Oceanem.

Pani Mira wraz ze swym mężem płk. dr. Missiuro, docentem Un., zajmuje na Żoliborzu piękną dwupiętrową willę, urządzoną z dużym smakiem artystycznym (nazwisko Grelichowska jest nazwiskiem panieńskiem pani Miry, które zatrzymała dla celów artystycznych). Zastaję ją wśród kufrów i waliz, w stadjum ostatnich przygotowań przed wyjazdem.

— Wie pani, z czem mam największe zmartwienie? — mówi pani Mira i jej zawsze wesołe oczy są naprawdę smutne. — Z moją menażerją! Mam przecież całą kocią rodzinę, rasowych angorów, jamniczka, który jest do mnie ogromnie przywiązany, no i wreszcie stada wróbli i innego ptactwa, dla których zorganizowałam w naszym ogrodzie „pomoc zimową". Będę musiała te żywe depozyty poumieszczać w przechowaniu u znajomych. Bo poza tem wszystko załatwione, zorganizowane iście po amerykańsku. Plan podróży ustalony co do godziny. Jadę z Holandji „Batorym".

— Proszę mi opowiedzieć o swoich planach artystycznych...



Na lewo: Artystka w stroju huculskim. Zdjęcia Fot. Van Dyck — Warszawa.

Z ZAGADNIEŃ DJETETYKI.

nie można głodzić się i obchudzać...

trzeba jeść, aby zachować młodość i piękność...

Takie oto hasła rozbrzmiewają od pewnego czasu w Hollywood, metropolji najpiękniejszych kobiet świata, które poświęciły się karjerze filmowej i dla których alfą i omegą życia jest zachowanie jak najdłużej nieskazitelnego piękna postaci i uroku młodości. Prekursorem tych haseł stał się Benjamin Galeyford Hauser, którego prace ukazały się po tamtej stronie oceanu, a przeniknąwszy do Europy wywołały w Paryżu zrozumiałą sensację.

Najciekawsze są w tym systemie t. zw. „cocktaile z soku jarzyn i owoców", które działają niezwykle odżywczo na nasz organizm, wprowadzając potrzebne sole mineralne, czyszcząc krew i neutralizując kwasy organiczne. Przypisuje się jednym z nich szczególne oddziaływanie na jasną, świeżą cerę, innym na porost i połysk włosów, jeszcze innym na blask oczu, sztywność paznokci, no i na ową upragnioną wysmukłość postaci, która jest marzeniem wszystkich kobiet, osiągalną bez głodzenia się, a tak korzystną w porównaniu z chorobliwą ociężałością ludzi otyłych.

Cocktaile zielone.

Oto kilka przepisów na cocktaile zielone, których podstawą są jarzyny liściowe. Dwie garści szpinaku i jedną zielonej pietruszki, posiekać drobno i wycisnąć ich sok przez płócienny woreczek. Wymieszać ten sok z równą ilością soku z pomarańczy. Można jeszcze dodać do smaku kilka kropel cytryny, kto woli napój kwaśniejszy, lub troskę miodu dla amatorów słodyczy. Wypić w ciągu dnia po połowie.

Nieznana u nas prawie w użyciu kuchennem rzeżucha daje również znakomity cocktail jarzynowy zielony. Równe ilości soku z rzeżuchy i pomarańczy lub ananasu (nie u nas) dają smaczną mieszankę o swoistym dość ostrym smaku. Pije się dwie małe szklaneczki dziennie.

Cocktaile czerwone.

Podstawą cocktaili czerwonych jest marchew i burak. Równe ilości soku marchewki i buraków, miesza się z sokiem z cytryny. Pije się dwie małe szklaneczki dziennie.

Sok z marchewki i pomarańczy w równych ilościach, daje również odświeżający i pożywny napój roślinny.

Aby wycisnąć sok z marchewki czy buraka, przeciera się je przez tarełko od jarzyn na drobnych ostrzach i wkłada się tę masę jarzynową do woreczka płóciennego, wyciskając mocno.

Cocktaile jodowe i krzemianowe.

Ubić żółtko w szklance soku ananasowego, nie dodając wcale cukru. Ananas należy do tych nielicznych przedstawicieli świata roślinnego, jakie szczycą się zawartością jodu, podobnie jak nieznane u nas morskie wodorosty „herbes marines" oraz karczochy, czosnek, szczaw. Pijąc codzień szklankę przez 6—8 tygodni wzmacnia się wydatnie porost włosów.

Do litra gotującej wody wsypać szklankę niełuskanego owsa. Moczyć tak całą noc. Rano odcedzić ziarno a do pozostałego smaku dodać trochę miodu. Szklanka takiego napoju codziennie, wpływa podobno znakomicie na połysk włosów.

„Endo-Meal". Ćwierć szklanki otrąb ryżowych i tyleż pszenicznych oraz ćwierć szklanki niełuskanego owsa, zamoczyć na noc. Rano zagotować 3—5 minut i trochę osolić. Podać ze śmietanką lub owocami jako pierwsze śniadanie, bogate w składniki mineralne.

Nie obierać owoców ze skórki.

Omawiany system odżywiania kładzie duży nacisk na surowe owoce, trzymając się zasady, głoszonej już wcześniej przez dr. Bircher-Bennera z Zurychu, który zapoczątkował hasło konsumowania owoców wraz z ich skórką. W skórce bowiem tak owoców jak i jarzyn zawarta jest największa ilość cennych dla organizmu ludzkiego soli mineralnych. Oddalając skórkę z owocu czy jarzyn, pozbawiamy się niepotrzebnie tych wysoce pożytecznych dla organizmu składników, które spożywane na surowo doskonale są przystosowane do zabsorbowania przez organizm ludzki. Mowa tu oczywiście o jabłkach, gruszkach itd., a nie o pomarańczach czy orzechach.

Tak to medycyna i pokrewne jej nauki wkraczają coraz częściej w domenę gospodarstwa domowego, przekształcając z gruntu nasz system odżywiania i tak już od czasu wojny zasadniczo przeobrażony.

(H-a).



JAK ZAPOBIEGAĆ ODMROŻENIOM?

Zima, poza swem pięknem, przyjemnościami i korzyściami zdrowotnemi kryje w sobie zarazem i wielkie niebezpieczeństwo. Tym niebezpiecznym dla człowieka czynnikiem jest zimno.

Zimno osłabia wszelkie funkcje życiowe, działa niekorzystnie na cały ustrój przez to, że odbiera mu wielką ilość ciepła. Zimno uszkadza wreszcie tkanki. W pierwszym rzędzie działa ono na skórę, gdyż ta bezpośrednio styka się z powietrzem. Już pod wpływem niewielkiego zimna skóra blednie, potem czerwienieje, wreszcie sinieje, jednakże po ogrzaniu wraca do pierwotnego stanu.

Ciało ludzkie nie w każdem miejscu jest w równej mierze wrażliwe na zimno. Najsilniej działa zimno na odcinki naszego ciała o małej masie, leżące najdalej od serca, lub posiadające największą styczną powierzchnię z powietrzem, a więc: końce palców rąk i nóg, koniec nosa i uszy. Są to części, do których krew ma utrudniony dostęp i przez to najmniej je ogrzewa. Wilgoć i wiatr powiększają jeszcze szkodliwe działanie zimnego powietrza, bo wzmagają utratę ciepła ciała. Woda w niskiej temperaturze działa o wiele szkodliwiej od powietrza tej samej temperatury: nogi można odmrozić po dłuższem staniu w wodzie, posiadającej nawet kilka stopni ciepła.

Przyzwyczajenie pewnych części ciała do zimna zmniejsza w znacznej mierze ich możliwość na nie. Ponadto natura sama wyposażyła ustrój ludzki w potężne siły, które pozwalają człowiekowi przystosować się do najrozleglejszych wahań temperatury i do wszelkiego rodzaju warunków klimatycznych, spotykanych na całej kuli ziemskiej. Dzięki nim człowiek może istnieć w ostrym klimacie Syberji, gdzie przeciętna ciepłota spada w miesiącu lutym do 50 st. C. poniżej zera i w głębi Afryki, w upale dochodzącym do 59 st. C.

Nauka dotąd nie stwierdziła dokładnie, jakim procesom wewnętrznym zawdzięczamy tę zdolność przystosowania się i wyrównywania różnic temperatury, wiemy tylko, że bierze w nich udział zarówno układ nerwowy, jak układ krążenia i oddychania, sposób odżywiania, a nadewszystko skóra, która sama ciepła nie wytwarza, lecz odgrywa rolę czynnika regulującego.

Poza tem ludzkość oddawna nauczyła się przeciwdziałać szkodliwym wpływom klimatu i temperatury zapomocą ubrania i odpowiednio zaopatrzonego mieszkania. Wobec upałów, coprawda, do dziś dnia jesteśmy niemal bezsilni, z mrozem jednak umiemy i powinniśmy walczyć w miarę możności.

W niniejszym artykule omówimy aktualną w obecnym czasie sprawę odmrożeń, tak pospolitych w czasie zimy, które jednym utrudniają wykonywanie zawodowej pracy, innym nie pozwalają na korzystanie z rozrywek zimowych.

Objawy są ogólnie znane, a dają się podzielić na trzy kategorje. W razie lekkich odmrożeń pierwszego stopnia powstają na najbardziej wystających członkach, a więc na uszach, nosie, rękach i nogach, sino-czerwone plamy, powodujące nieprzyjemne uczucie palenia i swędzenia, a nawet bolesność. Po odmrożeniach drugiego i trzeciego stopnia tworzą się pęcherze, zawierające płyn krwawo-wodnisty. W cięższych przypadkach dochodzi do obumierania i rozpadu tkanek, co może okazać się groźne dla zdrowia, albowiem wytwory rozkładu zatruwają cały ustrój.

Oprócz tych miejscowych obrażeń nastąpić może śmierć z zamarznięcia, którą poprzedzają silne dreszcze, uczucie dojmującego zimna, wzrastające znużenie i nieprzezwyciężona senność. *Dok. na str. 31-ej*

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

„PODWÓJNA BUCHALTERJA"



Teatr Polski w Poznaniu wystawił komedję muzyczną Golza „Podwójna buchalterja". Staranna oprawa sceniczna i reżyserja, kładąca nacisk na żywe tempo akcji i wydobycie komizmu sytuacyjnego, a przedewszystkiem gra aktorskiego zespołu składają się na całość, korzystnie odznaczającą się w dotychczasowym repertuarze teatru. Role główne znalazły dobrych wykonawców w osobach pp. Ady Zasadzianki, Oranowskiej, Zawistowskiego, Baryki i in. Na zdjęciu p. Ada Zasadzianka w roli Zuzanny.

Fot. „As".

Z WYSTAWY BARTOSZEWICZA





Członek „Bractwa św. Łukasza" p. Bartoszewicz wystawił w sali „Palais des Beaux Arts" kilkadziesiąt swych obrazów. Ogólną uwagę zwróciły przedewszystkiem portrety, z pośród których wyróżnia się portret arcybiskupa Teodorowicza. Artysta nasz spotkał się z bardzo przychylnemi krytykami w prasie belgijskiej, która zgodnie podkreśla, iż jest on jednym z najoryginalniejszych malarzy, bawiących obecnie w Brukseli. Powyżej: dwie prace p. Bartoszewicza.

Fot. C. Olszewski — Warszawa.

IRENA MALKIEWICZ



Wśród młodych talentów, któremi corocznie zasila „PIST" teatry warszawskie, wysuwa się na pierwszy plan Irena Malkiewiczówna. Jej pierwszorzędne warunki sceniczne, klasyczna wprost uroda, piękna postawa, ciepły timbre głosu, wrodzona dystynkcja, opanowanie mimiki i gestów, a nadewszystko urok młodości, promieniujący z całej postaci, wróżą młodej artystce wielką karjerę. Odpowiedzialna rola księżniczki Gonzaga w „Sułkowskim", granym obecnie w Teatrze Polskim, znalazła w pannie Malkiewiczównej godną przedstawicielkę. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

TEATR POKUCKO-PODOLSKI



Na lewo: Teatr Pokucko-Podolski w Stanisławowie wystawił ostatnio sztukę Sheldona „Romans", która dzięki starannej reżyserji p. Sawickiego, wspaniałej grze zespołu z dyr. Łozińską i p. Daniewiczem na czele, oraz efektownym kostjumom cieszy się ogromnem powodzeniem. Na zdjęciu: dyr. Łozińska i reż. Sawicki w jednej ze scen sztuki.

Fot. Junis — Stanisławów.

Na prawo: Dyrekcja Teatru muzycznego „Lutnia" w Wilnie pozyskała na szereg przedstawień znakomitą primadonnę operetki poznańskiej p. Zofję Lubiczówną. Artystka po szeregu występów w „Cyruliku Warszawskim" przybyła do Wilna, gdzie wstępnym bojem zdobyła sobie uznanie prasy i publiczności swą kreacją w operetce Straussa „Dookoła miłości". Fot. Doris — Warszawa.

NOWA GWIAZDA »LUTNI«



a zatem nosimy kolor

CZARNY...



Wieczorowa toaleta z czarnego satin ciré z girlandą blado-różowych kamelij przy wycięciu.

Na prawo: Prawdziwe koronki w odcieniu kremowym ozdabiają pełną prostoty wieczorową suknię z czarnego aksamitu.

Paryżanka zachwyca się modnemi tej zimy kolorami, ogląda je z lubością, z wrodzonym sobie poczuciem kolorystycznem zestawia je i kombinuje — i.... ubiera się nadal czarno". Tak pisze jedno z najwytworniejszych pism paryskich, poświęconych modzie. Napróżno wielkie firmy lansują najwspanialsze barwy w wełnie, jedwabiach i aksamitach, napróżno biedzą się, aby każdy sezon przynosił coraz to nowe, coraz subtelniejsze i coraz bardziej rafinowane odcienie — paryżanka przyjmuje te nowości z rezerwą, pozostając niezwyciężenie wierną szlachetnej i wytwornej czerni. Dlaczego? Czyż nie ma odczucia dla piękna barw i harmonji ich zestawień?

Jeden z mistrzów paryskiej mody zapytał raz dwóch swoich klijentek, należących do najpiękniejszych i najlepiej ubierających się kobiet nadsekwańskiej stolicy, dlaczego jeszcze i tym razem z barwnej i tak rozmajtej jego kolekcji modeli, wybrały znów suknie i kostjumy czarne? Obie panie spojrzały na niego zdumione:

— Kolory? ależ owszem. Nosimy je chętnie w lecie na plaży, w bieliźnie i domowych negliżach, nawet na sali balowej, ale czyż w mieście można być kiedykolwiek lepiej ubraną, jak w czarnym kolorze?

Panie te miały po tysiąckroć rację. Każda kobieta o smaku naprawdę wybrednym i dyskretnym oceni zalety czarnego koloru. Wyliczmy choćby najgłówniejsze z nich:

1. Kolor czarny podkreśla zarówno urodę blondynki, jak brunetki. Dawno przestano wierzyć w nieuzasadniony niczem przesąd, że odpowiedni jest tylko do jasnych włosów. Czyż można zapoznać efekt czarnej tualety przy czarnych włosach i matowej cerze klasycznej brunetki?

2. Kobiety młode zyskują w czarnym kolorze, który subtelnie podkreśla blask ich oczu i świeżość karnacji. Kobiety, które minęły balzakowską granicę pierwszej młodości w żadnym innym kolorze nie wyglądają tak wytwornie i subtelnie, jak w czarnym.

3. Kryzys zredukował znacznie możliwości naszego budżetu. Gdy nie stać nas na wiele sukien, któraż barwa okaże się tak odporną na opatrzenie się i wyjście z mody, jak czarna?!

4. Czarna suknia pozwala na barwne dodatki, zmieniające gruntownie jej wyraz i styl, dlatego zastosowanie jej może być znacznie wszechstronniejsze od każdej sukni kolorowej.

Zacytujmy parę przykładów praktycznych i modnych kombinacyj, opartych na zasadniczym motywie czarnej sukni, czy okrycia. Podstawowemi elementami będą tu dwie rzeczy: czarna suknia wełniana, czarna długa wieczorowa z lśniącego satin.

Czarna wełniana suknia, o prostym kroju, uzupełniona okryciem trzyćwierciowej długości z angielskiej kraty biało-czarno-zielonej, w połączeniu z zielonym angorowym krawatem i tejże barwy filcowym kapeluszem, stanowić będzie elegancki ensemble, stosowany na rano i przedpołudnie.

Gdy sportowy płaszcz w kratę zastąpimy frakowego kroju żakietem z wełny w modnym obecnie żółtowym odcieniu „mastic", uzupełnionym małym kołnierzem z czarnego futra lub aksamitu i czarnym kapelusikiem — stworzymy całość wysokiej klasy, zupełnie odrębną w charakterze od poprzedniej.

Ta sama czarna suknia, ozdobiona małym szalikiem z barwnego brokatu, wsuniętym w jej wycięcie, noszona pod czarne futro z selskinu czy breitszwancu, okaże się bardzo



odpowiednia na południową herbatkę, do kina lub do kawiarni.

Czarna suknia wieczorowa z lśniącego satin, odsłaniająca głęboko plecy, a z przodu sięgająca pod samą niemal szyję, z dodatkiem pęku barwnych kwiatów lub kolorowej długiej szarfy, odda nam nieocenione usługi na wieczory.

Włożywszy na nią bluzkę z czarnej koronki, będziemy mieli całość bardzo wytworną, choć o wiele skromniejszą, dzięki dyskretnemu przysłonięciu ażurową koronką obnażonych pleców.

Ta sama tualeta uzupełniona frakiem z czarnego aksamitu o połach sięgających do ziemi, z żabotem z białych koronek, nabierze zupełnie odmiennego stylu, tworząc wysokiej klasy strój stosowany na proszony wieczorny obiad, do teatru, lub na kolację w modnej restauracji.

Na dancing lub cocktail-party można włożyć tę samą suknię z krótkim żakiecikiem z czarnych paljetów o kloszowej odstającej baskince..

Pelerynka-cape z czarnych strusich piór, naszytych na tiulu, uczynią ją bardziej strojną i odpowiednią na t. zw. grande soirée.

Widzimy więc, żeilość warjacyj zasadniczego tematu czarnej sukni jest prawie że nieskończona i że przy pewnej pomysłowości jedna czarna tualeta może — z małemi zmianami — zastąpić nam pełną szafę wieczorowych strojów.

Sądzę, że największe przeciwniczki czarnego koloru dały się przekonać i przyznały rację mądrej i doświadczonej paryżance. Będziemy więc tej zimy ubierać się czarno lecz nie przesadzajmy! Moda obecna faworyzuje bowiem jak nigdy kolorowe dodatki, a przedewszystkiem dopuszcza kombinowanie sukien z dwóch albo i więcej kolorów. Np. czarne z modnym niebieskim odcieniem „bleu dur", czarne z „rouge grenat", czarne z „bleu pastel", czarne z fiołkowym lub lawendowo - liljowym, a nawet czarne z zielonym i czerwonym, co jednak jest dość śmiałem i ekscentrycznem zestawieniem, trudnem do sharmonizowania.



Popołudniowa suknia z czarnego satin ciré z przodu zapinana na drobne guziki.



Na lewo: Szykowny smoking z białego otomanu nosi się do czarnej sukiennej spódniczki. Pomarańczowy szal z matowego jedwabiu ożywia barwną plamą tę białoczarną harmonję.

Jeśli wolimy całość jednolicie czarną, to musimy zestawiać materjały matowe i błyszczące. Bardzo modne są popołudniowe suknie z czarnej matowej koronki wełnianej, wykańczane przybraniem z silnie lśniącego satin ciré. Podobnie zestawiać można wełnę z crêpe satin, matowe jedwabie z lśniącym aksamitem panne lub transparent, gazę z wąziutkiemi wstążeczkami ciré i tiul na spodzie z bardzo błyszczącego jedwabiu.

Niezwykle eleganckie do czarnych ensemblów są dyskretne dodatki ze złotej skóry w postaci pasków, wąskich lamówek, lub aplikowanych motywów.

Pojawiły się też wełny i jedwabie, przetykane złotą lub srebrną nitką, a także naszywane małemi złotemi paljetkami. Nosi się je na popołudniu lub wieczór, kombinując je najczęściej z materjałem gładkim. Np. wełniana czarna spódniczka i żakiecik naszywany paljetami, lub przetykaną złotą nitką czarna suknia z gładkim żakiecikiem lub bolerem.

Zestawienie czarnego z białem ustąpiło nieco w cień. Widuje się je chyba w postaci białych koronkowych dodatków do czarnych ensemblów. Lecz mając tyle modnych kolorów do wyboru, możemy w tym roku bez obawy zdradzić oklepany już nieco motyw czarno-biały.

Lady Like.



Oryginalny model popołudniowego kostjumu z czarnej wełny o renwersach, ozdobionych kwiatami w kolorze liljowo-różowym. Renwersy zrobione są z materjału „imprimé", z którego uszyta jest bluzka.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

SAŁATA RYBNA W MAJONEZIE. Ugotowaną w zakwaszonej i solonej wodzie rybę, lub drobniejsze ryby, obiera się czysto z ości, rozdrabniając ją na małe kawałki. Do pozostałej wody, w której się ryby gotowały, dodaje się odpadki rybne, tj. głowy, odcięte pletwy, ości itp. i wygotowuje to tak, aby nie więcej niż 1/4 l. zostało, poczem wlewa się w gotujący ten rosół białko z 1–2 jaj, miesza, zagotowuje, a po odstaniu się przecedza przez serwetę. W ten sposób uzyskujemy rybny anszpik, który zabarwiony lub też czysty, posiekany drobno lub wylewany w foremki, stanowi ładne przybranie półmiska z rybą. — Do sałaty rybnej, której przepis właśnie podajemy, używa się auszpiku w odmienny sposób. Mianowicie ubija się go na lodzie spiralką lub innem smaku i łyżeczkę francuskiej musztardy. Ubity auszpik narzędziem od bicia piany aż się utworzy sztywna biała piana. Osobno uciera się majonez z 2 żółtek i szklank oliwy, dodaje sok z 1–2 cytryn lub łyżkę winnego octu, szczyptę białego pieprzu, pół łyżeczki cukru oraz soli dołączy się z majonezem i rozdrobnioną rybą. Sałatę układa się kopiato na salaterce i ubiera piklami, listkami zielonej pietruszki, wykrajaną jarzynką, płatkami cytryny, kawiorem, twardemi jajami itp. Można też nałożyć sałatkę w formę rybną wysmarowaną oliwą i wylaną anszpikiem, który musi przed nałożeniem sałaty dobrze zastygnąć. Sałata przybierze w ten sposób kształt ryby, którą ubiera się na półmisku kolorową jarzynką w odpowiedni sposób.

SAŁATKA ŚLEDZIOWA. Wymoczonego w mleku śledzia mleczaka, obranego ze skórki i ości, puszcza się przez maszynkę wraz z mleczkiem, małą rozmoconą i wyciśnietą z wody bułką, dwoma twardemi jajami, małem kwasnem jabłkiem, małą cebulką i 5 ziarnkami jałowca Zmieloną masę zaprawia się dwoma łyżkami oliwy, łyżką octu, szczyptą cukru i białego pieprzu.

RÓŻNE SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA ZIEMNIACZKÓW do ubierania półmisków oraz jako dodatek do ryb, pieczystego i t. p.

POMMES FRITES. Surowe ziemniaki, obrane i wymyte, kraje się na pół cm grubości plastry, następnie wykrawuje z nich kółkiem małe placuszki, poczem się je smaży na złoty kolor w maśle lub oliwie. Do wysmażania służą specjalne rondelki z wpuszczanem sitem, na którem się układa ziemniaczki i wraz z niemi wpuszcza na wrzący tłuszcz. Usmażone równomiernie przy ciągłem potrząsaniu sitem fritki wysypuje się na bibułę, aby osiakły z tłuszczu, poczem się je soli.

POMMES PAILLES to ziemniaczki krajane w formie krótkiej słomki i smażone wedle powyższego przepisu.

ZIEMNIACZKI A LA DUCHESSE. Ładne jest też podanie ziemniaczków à la duchesse Do tego celu gotuje się około 1 kg. ziemniaków, odcedza, przeciska przez maszynkę lub przeciera przez sito, miesza z 8 dkg masła, utartego z dwoma żółtkami, dodaje troszkę gałki muszkatułowej i wyrabia na jednolitą masę. Z wywałkowanego na grubość 1 cm. wzgl. małego palca ciasta, wykrawuje się foremką krążki lub półksiężyce i wysmaża na patelni na wrzącym tłuszczu z obu stron na jasno brązowy kolor. Tłuszczu nie powinno być dużo na patelni, bo krokietki łatwo mogłyby się rozpaść.

INNY RODZAJ KROKIETKÓW. 8 dkg masła uciera się z 1 całem jajem i 1 żółtkiem, następnie dodaje się 25 dkg przetartych przez sito pieczonych i osolonych ziemniaków, 3 łyżki grysiku i 3 łyżki mąki, zagniata ciasto, wałkuje na palec grubości, wycina radełkiem podłużne krokietki, pamieruje je w jajku i bułce i smaży na maśle.

CIASTKA Z BITĄ ŚMIETANKĄ. Ile 3 jaja ważą, tyle cukru, ile 2 jaja, tyle mąki. Ubija się pianę z 3 białek, do piany dodaje się po jednemu 3 żółtka, ubijając na przemian z cukrem i mąką. Na masłem potartą i mąką wysypaną blachę wykłada się łyżką masę po trosze, w dużych odstępach, bo masa się rozlewa podczas pieczenia. Upieczone placuszki zdejmuje się z blachy i zwija szybko póki gorące w trójkątne tutki; wystygłe nie dadzą się zwijać. Należy więc działać szybko i blachę wsuwać w piecyk z powrotem, aby się ciastka nie studziły. Ciastka napełnia się bitą słodzoną śmietanką lub gęstym kremem czekoladowym tuż przed podaniem, aby nie rozmokły. Ciastka te mogą mieć również zastosowanie na drzewku jako koszyczki, wtedy napełnia się je nie śmietaną, lecz lekkiemi cukierkami np. kolorowemi kulkami likierowemi itp.

TORT MAKOWY. 4 żółta, 30 dkg cukru, 2 łyżki masła oraz 2 łyżki kakao, uciera się razem, dodaje 30 dkg. maku, sparzonego, zmielonego, utartego na gładką masę Wkońcu dodaje się 5 dkg mąki, zmieszanej z szczyptą soli, 2 dkg drożdży rozpuszczonych w dwóch łyżkach letniego mleka i pianę z 4 białek. Masę daje się do formy i piecze w gorącym piecu. Po wystudzeniu oblewa się go lukrem pomadkowym z cytryną lub polewą czekoladową i posypuje kolorowym maczkiem.

PRAKTYCZNA WSKAZÓWKA CO DO SPOSOBU PRZYGOTOWANIA SERA DO PLACKÓW I SERNIKÓW. Aby ser był zupełnie gładki, nie należy go mleć ani przecierać przez sito, lecz wyłożywszy na stolnicę, wałkować go wałkiem silnie, naciskając, aż utworzy masę gładką jak masło. Potem dopiero miesza się go z dodatkami wedle przepisów.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Na odbywającej się rokrocznie w Londynie wystawie hotelarskiej demonstrowane są wynalazki, które znajdują często potem zastosowanie w gospodarstwie domowem. Na zdjęciu widzimy jeden z tych wynalazków — elektryczny przyrząd do zaprasowywania spodni bez ich rozbierania. To nowe „żelazko" działa z pomocą dwóch płytek metalowych, złączonych silną sprężyną, a ogrzewanych prądem elektrycznym.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. — Tydzień 52 — **Grudzień** — Dni 31

Niedziela 20 (Teofila)
Zupa pieczarkowa. Omlet z pomidorami. Ozór peklowany i purée z grochu. Budyń orzechowy z szodonem.
Kolacja: Szynka z sałatą majonezową.

Poniedziałek 21 (Tomasza)
Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Kuropatwy w śmietanie z makaronem. Kompot z jabłek i gruszek.
Kolacja: Naleśniki z mięsem.

Wtorek 22 (Zenona)
Czernina z zająca. Brukselka z masłem. Pieczeń sarnia z brusznicami i ziemniaczkami. Strudel z makiem.
Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.

Środa 23 (Wiktorji)
Zupa pomidorowa czysta z kluseczkami. Rizotto z groszkiem. Kotleciki baranie z marchewką. Biszkopt z kremem kawowym.
Kolacja: Kapusta faszerowana.

Czwartek 24 (Adama i E. † Wig.)
Zupa grzybowa z płatkami. Śledzie marynowane z ziemniaczkami w mundurkach.
Obiad wigilijny: Barszcz z uszkami. Zupa rybna lub zupa migdałowa. Muszelki z wątróbkami rybnemi. Szczupak po polsku z sosem chrzanowym. Karp nadziewany z krokietkami i sałatą z kiszonej kapusty. Kompot z suszu. Strudel z jabłkami lub makiem. Torty i ciasta.

Piątek 25 (Boże Narodzenie)
Zupa z drobiu z grzybkiem. Sałata rybna w majonezie. Indyk pieczony z kompotem i pommes frites. Torty, ciasta, owoce.
Kolacja: Zimne mięsa z sałatą.

Sobota 26 (Szczepana męcz.)
Barszcz czysty w filiżankach. Bukiet jarzynowy. Perliczka pieczona lub gęś z duszoną kapustą czerwoną i ziemniaczkami. Tort makowy z bitą śmietaną.
Kolacja: Zimny drób, pasztet, lub ryba w galarecie, sałata włoska.

HOCKI-KLOCKI

KWADRAT MAGICZNY.

Ułożył Adam Totoś — Kraków

A	A	A	A
B	B	K	K
M	O	O	R
R	R	R	T

Litery kwadratu magicznego należy tak poprzestawiać, by czytane pionowo i poziomo dały cztery wyrazy. Znaczenie słów jest następujące: 1) część wozu, 2) bożek miłości, 3) inaczej przysięga, 4) inaczej stworzenie żyjące w morzu.

Rozwiązania z N-ru 50-go.

ZABAWKI NA CHOINKĘ.

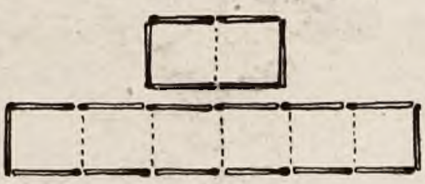
Pan Kanarek kupił 1 statek, 1 piłeczkę, 5 lalek i 14 trąbek — razem 21 przedmiotów za 2,40 zł. Pan Wróbel kupił 2 statki, 2 piłeczki, 1 lalkę i 16 trąbek — razem 21 przedmiotów za 2,40 zł.

PROBLEM PITAGORASA.

Oboje byli w błędzie, gdyż niema równobocznych trójkątów prostokątnych.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

FIGURY Z ZAPAŁEK.



Rysunek pokazuje, w jaki sposób z dwudziestu zapałek podzielonych na dwie grupy można utworzyć dwie takie figury, że jedna z nich jest trzy razy mniejsza od drugiej.

UCZONY I JEGO PIES.



— To zwierzę jest niemożliwe! Jak tylko uda mi się wykopać jakąś kość przedhistoryczną, porywa ją i zakopuje w piasku!

„Ric et Rac"

NOWA ELITA.



— Oto, ekscelencjo, nasi nowi grandowie hiszpańscy! ***„Travaso delle Idee"***

Proponujemy czytelnikom rozdzielenie zapałek na dwie grupy po trzynaście i siedem sztuk, oraz utworzenie z nich takich dwu figur, aby jedna z nich była trzy razy większa od drugiej.

KAWALERZY W RULONII.

Mieszkańcy Rulonii, gdzie panuje ścisłe jednożeństwo, są wielkimi patriotami i nigdy nie zawierają małżeństw z obcokrajowcami. Statystyka minionego roku wykazała, że 4,2% mężczyzn i 2,8% kobiet tego kraju, niezamężnych dnia 1 stycznia, w czasie następnych dwunastu miesięcy weszło w związki małżeńskie. Jaki procent niezamężnej ludności Rulonii stanowili wspomnianego 1 stycznia ubiegłego roku kawalerzy?

Dokończenie ze str. 20.

jej opiekuńczemi skrzydłami. Polityka jej i strzyże i mongoli gołą biedotę chińską, mandziurkując olbrzymie Państwo Środka korytarzami swej panmongolskiej propagandy. Ta polityka nie pozostaje znów bez wpływu na p a c y f i k o w o nastawioną Amerykę, która uważając państwa mongolskie za typowych żółtodziobów — usiłuje za wszelką cenę podnieść w cenie swe mocarstwowe stanowisko w tamtej części ziemskiej kuli. Troi się więc i zbroi na morzu i na lądzie, by w chwili decydującej nie osiąść na lodzie. Jeśli chodzi o wewnętrzne stosunki Ameryki — to w ostatnich wyborach na prezydenta zwyciężył po raz wtóry Roosevelt, utrąciwszy swego kontrkandydata Landona. Powtórnie wybranemu prezydentowi zarzucają, że para się z Sowietami. Już z racji samego nazwiska swego „Russwelt" nie może z niemi nie sympatyzować. Zrozumiałą zatem jest rzeczą, że przeciwnik jego w wyborach nie mógł inaczej nazywać się, jak tylko Land-on. Niezbadane są wyroki losu. Nawet w nazwiskach odzwierciedlają się jego przeznaczenia.

W ten sposób przebiegliśmy główne punkty globu ziemskiego, gdzie koncentrują się interesy światowej polityki. Dotykałem tu bardzo drażliwego tematu, i starałem się poruszać tylko sprawy zasadnicze, unikając starannie wszelkich „miejsc odosobnienia". O tem, czy rzeczywiście mi się to udało — dowiem się jak przypuszczam najdalej do dni trzech, dlatego wszystkich Czytelników upraszam pokornie o błagalne modlitwy za moją biedną duszę w ciągu tych dni krytycznych.

Adam Cyprian.

Dokończenie ze str. 26.

Z doświadczenia wiemy, że niektórzy ludzie są tak wrażliwi na działanie zimna, że odmrażają sobie ręce i nogi już w jesieni, kiedy jeszcze o właściwych mrozach nie może być mowy. W czasie wojny bałkańskiej notowano w pełni lata wypadki odmrożeń u żołnierzy, którzy przez kilka godzin z rzędu stali w górskich, zimnych potokach.

W jaki sposób należy zapobiegać odmrożeniom?

Przedewszystkiem należy sobie uświadomić, że wrażliwość na mróz wiąże się ściśle z ogólnym stanem ustroju. Osoby młode, niedokrwiste, słabowite i źle odżywione łatwiej ulegają odmrożeniom, niż ludzie zdrowi i silni. Wobec tego zacznijmy od skrzepiania całego ustroju przez planowe leczenie i umiejętne stosowanie ćwiczeń cielesnych.

Zmywania zimną wodą hartują i uodparniają skórę, należy jednak rozpocząć ich stosowanie w letniej porze i powoli przyzwyczajać do nich ustrój.

Z nadejściem zimy pamiętajmy zawsze o odpowiedniem ubraniu, o rękawiczkach, obuwiu, ochraniaczach na uszy. Odzież powinna być ciepła i wygodna, zwłaszcza jeżeli chodzi o ręce i stopy, nic bowiem tak nie usposabia do odmrożeń, jak ciasne rękawiczki, lub zbyt obcisłe obuwie, które tamuje dopływ krwi do kończyn, wystawionych na działanie mrozu. Dobrze jest również na 2 do 3-ch godzin przed rozpoczęciem pracy na wolnem powietrzu spożyć posiłek, zawierający dużo cukru, mąki i tłuszczu, ponieważ te ciała dostarczają ustrojowi ludzkiemu zapasu ciepła. Nacieranie tłuszczem twarzy, rąk, nóg i karku ma duże znaczenie, ponieważ uodparnia skórę i chroni przed odmrożeniem. Gdyby mimo tych zabiegów nie udało się odmrożeń uniknąć, można zastosować domowy środek leczniczy, polegający na moczeniu rąk i nóg w gorącej wodzie z dodatkiem 2-ch do 3-ch łyżek octu.

Po przemrożeniu już jednak jakiejś części ciała nie wolno jej nagle ogrzewać, np. przez włożenie zziębniętych rąk do gorącej wody, gdyż można sobie tem jeszcze bardziej zaszkodzić; należy stopniowo doprowadzać odmrożone członki do odpowiedniej ciepłoty, dobrze jest naprzykład lekko nacierać je śniegiem w chłodnym pokoju. — W cięższych czy wątpliwych wypadkach nie należy słuchać rad niepowołanych osób lub stosować własnych nie zawsze odpowiednich sposobów, lecz udać się pod opiekę lekarza.

Przypadki poważniejszego, ogólnego zamarznięcia w naszym klimacie zdarzają się stosunkowo rzadko. Wówczas należy przenieść zamarzniętego do nieogrzanego pokoju, rozebrać i całe ciało mocno nacierać śniegiem, lub zimną wodą, przyczem należy stosować sztuczne oddychanie. Po przywróceniu przytomności należy zamarzniętemu podawać herbatę z rumem, drobnemi łykami.

Niniejsze uwagi przydać się mogą zarówno pracującym, jak i sportowcom. Wynika z nich, że kto rozsądnie umie troszczyć się o swoje zdrowie, ten nie potrzebuje obawiać się zimy i mrozów.

(Dr. L. S.)

To warto poznać..

NA SCENIE.

W Teatrze Małym w Warszawie wystawiony został pierwszy utwór sceniczny **Jarosława Iwaszkiewicza**, który śmiało nazwać można znakomitym, jeżeli uwzględni się, że jest debiutem dramatycznym poety i powieściopisarza. Utwór ten jest pięknem i niezwykle wartościowem zjawiskiem w dziedzinie tak ubogiej u nas literatury dramatycznej. Utwór Iwaszkiewicza zaciekawia również swoim tematem, poświęcony jest bowiem historji miłości George Sand i Szopena. Tytuł komedji Iwaszkiewicza **„Lato w Nohant"**.

Spotkała się ona z bardzo gorącem, wprost entuzjastycznem przyjęciem krytyki, że zacytujemy tu tylko fragment recenzji Kazimierza Wierzyńskiego:

„Tak, to był Szopen. Przeszedł ucieleśnioną zjawą na scenie, stanął przed nami jak żywy. Materjalizacja tego ducha, najbardziej poetyckiego w polskiem niebie, dokonała się za sprawą poety; z przywidzeń i snów wywiodło go pod światło komedji czułe, pobratymcze serce. Zmartwychwstałe widmo nie uraziło w niczem naszych wyobrażeń, wszystko, co wiedzieliśmy o Szopenie z lektury i co żyje w nas z jego muzyki, zgodziło się na obraz, wyrysowany przez Iwaszkiewicza i powtórzony za nim w świetnej kreacji aktorskiej Ziembińskiego.

Co najważniejsze, Iwaszkiewicz wywołał zjawę bez żadnych sztuczek magicznych. Prostota jego opowiadania scenicznego pozwoliła ukazać się Szopenowi w zwykłej ludzkiej postaci bez fałszywego patosu i brązowniczych gestów z nieudanego pomnika. Był to nietylko kostjum historyczny i malowidło marzenia, ale żywy człowiek, pełny drobnych, codziennych spraw, pomieszanych nad światowym jego genjuszem. Gdy w końcu drugiego aktu wyszedł nagle ze swego pokoju z kawałkiem papieru nutowego i z piórem w ręku, sala zastygła w przejmującem wzruszeniu. Coś z zachwytu i oniemienia, ogarnęło oczy, uszy i serca obecnych...".



Mieczysław Dowmunt, wybitny art.-dram. i ceniony reżyser Teatru Nowego w Poznaniu, jest w rolach charakterystyczno-komicznych ulubieńcem publiczności.

Komedja Iwaszkiewicza, której jednym z głównych aktorów jest muzyka Szopena, została świetnie wystawiona i delikatnie wyreżyserowana przez Wiercińskiego. Doskonałe dwie kreacje dali Ziembiński jako Szopen i Przybyłko-Potocka jako George Sand. Bardzo dobrze zagrali swe role: Andryczówna (Solange), Borowska (Augustyna), Wilczówna (Magdalena), Grabowska (Rozjerka), Kreczmar (Fernand), Grolicki (Wodziński) i inni. Piękne wnętrze dał Śliwiński, a kostjumy projektowała Węgierkowa.



Kazimierz Junosza Stępowski śpiewa kuplety w komedji muzycznej „Król z parasolem", granej przez Cyrulik Warszawski.

NOWE KSIĄŻKI.

Duże zainteresowanie w kołach czytelników zwróciła uwagę świeżo przez Gebethnera i Wolffa wydana powieść **Aliny Segeń p. t. „Anna"**. Jest to debiut autorki dotąd zupełnie nieznanej, który powstał w tak szczególnych okolicznościach życiowych, że warto im poświęcić słów kilka, zanim na tem miejscu szczegółowiej omówimy wartość samej książki, poświęconej miłości.

Alina Segeń urodziła się dnia 8 czerwca 1908 w Modlinie i wczesne jej dzieciństwo upłynęło jak lata wielu innych dzieci. Dopiero rok 1914 wprowadził w jej życie pierwsze silniejsze wrażenia, gdy znalazła się na wędrówce po Rosji. W roku odzyskania niepodległości przez państwo polskie powróciła do kraju i zamieszkała w Janowie Podlaskim, gdzie podjęła dalszą naukę, rozpoczętą jeszcze w rosyjskiej szkole powszechnej w Charkowie. W Białej Podlaskiej ukończyła gimnazjum.

Wprawdzie w latach 10—12 próbowała pisać i chciała nawet zostać humorystką, ale później zarzuciła te próby i o zawodzie literackim właściwie nigdy poważnie nie myślała. Skłonna była raczej interesować się robotami ręcznemi, lubiała sztukę stosowaną, objawiała w tym kierunku pewne zdolności. Była bardzo życiowa i praktyczna.

Jednak pierwsza jej zawodowa praca, jakiej się podjęła po maturze, nie miała nic wspólnego z zamiłowaniami: została bowiem ekspedjentką w jednym z warszawskich magazynów. Tu pracowała doskonale, po upływie pół roku została wyróżniona z pośród ekspedjentek, awansowała: została kasjerką. Lecz po trzech latach znalazła się w szeregach bezrobotnych. Wtedy to przypomniała sobie swe zaniedbane zdolności rękodzielnicze i została modystką. Była nią krótko, bo los zrządził tak, że dziś stała się autorką powieści, która ujmuje subtelnem, a prostem scharakteryzowaniem kobiecości bohaterki powieści.

(b).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 20 grudnia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa.
10.30 Koncert rozrywkowy (płyty).
12.03 Poranek muzyczny z Filharmonji Warszawskiej.
14.45 Audycja dla wsi.
15.15 Koncert w wykonaniu zespołu Pawła Rynasa.
16.00 „Tragedja Sokratesa" — część II p. t. „Obrona Sokratesa".
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" i ogłosz. Wyniku Konk. Mandolinistów.
19.00 „Sezon i epoka" — szkic literacki.
19.20 Muzyka lekka.
21.00 Na wesołej lwowskiej fali.
22.00 Koncert.
23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 21 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert w wyk. orkiestry wojskowej.
1.15 Lekkie piosenki (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Koncert solistów.
17.00 „Udział Polski w badaniach biologicznych" — odczyt.
17.15 „Tragedja Sokratesa" Część III p. t. „Kriton".
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Koncert w wyk. Małej Orkiestry
21.00 Muzyka lekka.
21.30 Koncert Pomorskiego Towarzystwa Muzycznego.
22.30 Muzyka ludowa.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 22 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Nastroje wiedeńskie (płyty).
15.15 Muzyka lekka (płyty).
16.30 Koncert popołudniowy.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich".
17.15 Franciszek Schubert: Trio op. 99 B-Dur.
19.00 „Dyskutujmy".
19.20 Koncert orkiestry wileńskiej.
20.00 Koncert symfoniczny.
22.30 „Lud w poezji staropolskiej" — kwadrans poezji.
22.45 Muzyka taneczna.

Środa, 23 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
12.03 Koncert w wyk. orkiestry Pracowników Tramw. i Autobusów.
15.15 Wirtuozowskie utwory skrzypcowe (płyty).
16.10 „Choinka w radjo" — audycja dla dzieci.
17.00 „O powstaniu wielkopolskiem", odczyt.
17.15 „Czar operetki" — fragmenty z operetek.
19.00 „Bitwa pod Łowczówkiem" (Boże Narodzenie Legjonistów).
19.20 Trio Polskiego Radja.
20.00 Włoskie piosenki (płyty).
21.00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór VI „Na paryskich salonach".
21.40 Romanse i ballady Roberta Schumanna.
22.10 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Czwartek, 24 grudnia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy kolędy".
12.03 Muzyka salonowa.
11.58 „Kolędy różnych narodów" — transmisja z Berlina.
16.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
17.00 Słuchowisko „Jodłowa kolęda".
17.30 „Przed wigilją" — reportaż.
17.45 Kolędy Adama Sołtysa.
18.15 Przemówienie wigilijne Prymasa Polski ks. kard. Hlonda.
18.20 „Wigilja w kraju i zagranicą", audycja zbiorowa.
18.55 „Pójdźmy wszyscy do Betleem", audycja muzyczna.
20.00 „Opłatek speakerów" — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni.
20.10 Koncert solistów.
21.30 „Legenda wigilijna o białym młodzieńcu i grzecznej pannie".
22.00 Jan Bach: „Weihnachtsoratorium".
23.10 „Wigilja wieszczów".
23.50 Pasterka z bazyliki gnieźnieńskiej.

Piątek, 25 grudnia.

8.00 Audycja poranna.
8.35 „1000 taktów muzyki".
9.35 Kompozycje Franciszka Liszta (płyty).
10.10 Transmisja nabożeństwa z kościoła katedralnego w Poznaniu.
12.03 „Zapraszamy dzieci na ciasto z rodzynkami".
12.35 Koncert rozrywkowy.
14.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
15.35 Koncert Chóru Dana i orkiestry Boulangera (płyty).
16.45 „Misterjum o Narodzeniu Pańskiem".
17.30 „Przyjęcie u Chrabelskich" — wesoła audycja świąteczna.
18.00 Mała Orkiestra P. R. przygrywa do tańca.
19.05 „Wesołe pastorałki" — nadadz wszystkie rozgłośnie P. R.
19.35 Koncert solistów.
20.35 Kurant staroświecki „Szkoda wąsów" — komedjo-opera.
21.15 „Płyta za płytą".
22.00 „Pieczone gołąbki" — audycja muzyczna".
22.45 „Taniec za tańcem".

Sobota, 26 grudnia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej (z Łodzi).
10.30 Koncert rozrywkowy.
12.03 „Na wesoło pod jemiołą" — koncert.
14.00 „Jasełka regjonalne" — audycja zbiorowa wszystkich rozgłośni P. R.
14.40 Pogodna muzyczka (płyty).
15.30 „O Chińczyku Czing-Czang i porcelanowej księżniczce" — słuchowisko.
16.00 „Suita pastoralna" Stanisława Wiechowicza.
17.00 „Kukułka wileńska".
17.30 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą
19.30 „Pasztecziarnie poetów, albo najdziwniejsza knajpa" — feljeton.
19.45 „Nowe Krakowiaki", opera.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.